

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 luty 2019, nr 33



Gmina w obiektywie

Te zdjęcia zrobiliśmy 17 lutego.
W naszych lasach Leśnictwo Sękocin prowadzi planową trzebież drzew.





28



7



13



38



33

Spis treści

- 6 Od Redakcji
- 7 Sam na sam z królem
...nie umiem opisać wrażenia, jakiego doznałam, stojąc i słuchając hymnu
- 13 Zawód fotoreporter
...bardzo chciałem być takim, jak pan Kolinko
- 19 Rok świni
...Rok Świni następuje po Roku Psa
- 22 Dwa razy tak
...jako chłopak nie myślałem, że będę księdzem
- 28 Moje gołębie
...kilka dyplomów moje gołębie zdobyły
- 33 Kupuję obrazki
...sześć lat temu stałem się właścicielem pięknego BMW 1200C
- 38 Kolekcjoner
...dostałem od babci mały przenośny radiodbiornik o nazwie Alicja
- 42 Szczypiorniak Lesznowola
...chcielibyśmy współpracować z Champions Handball Academy
- 48 Ser w roli głównej
...do sera najlepiej pasują dobre wino i dojrzałe winogrona



19



22



42



Od Redakcji

Przeczytałem chiński horoskop na rok 2019, który według kalendarza księżycowego rozpoczął się 5 lutego. Okazją, by się nim zainteresować, było powitanie przez Chińczyków i Wietnamczyków w Wólce Kosowskiej nowego roku, czyli Roku Świni, któremu towarzyszyło wielu mieszkańców naszej gminy.

Wychodzi na to, że powinniśmy być optymistycznie nastawieni do życia, bo zaczął się świetny czas na ukończenie wszystkich projektów, które zostały rozpoczęte w poprzednich latach. Mamy ich w gminie sporo i każdy ma też swoje prywatne, więc patrzymy w przyszłość z nadzieją.

Ale są i dylematy, które staną przed nami. Mędrcy przewidują, że może w tym roku trzeba będzie podjąć ważne decyzje, może sytuacja wymusi na nas opowiedzenie się po którejś ze zważnionych stron, co jak na rok, w którym czekają nas i wybory do Parlamentu Europejskiego, i wybory do sejmu wydaje się bardzo prawdopodobne.

Na szczęście chiński horoskop mówi, że świnia sprzyja otwartości umysłu i duszy, więc o wybory możemy być spokojni.

Powitanie Roku Świni odnotowaliśmy wewnątrz numeru, w którym jak zwykle proponujemy poznanie kilku interesujących osób.

Zaczynamy od jedynej kobiety w tym numerze, pani ambasador, która opowiedziała nam o swojej misji w Hiszpanii i Czechach.

Potem już sami panowie: fotoreporter z Mrokowa, ksiądz proboszcz z Magdalenki, hodowca gołębi pocztowych z Nowej Iwicznej, zafascynowany motocyklami legendarnego Jamesa Bonda informatyk z Jazgarzewszczyzny, kolekcjoner sprzętu grającego ze szkoły w Nowej Iwicznej i pasjonat piłki ręcznej, nauczyciel, twórca UKS Szczypiorniak Lesznowola.

W naszej kuchni tym razem ser w roli głównej.

Miłej lektury

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

fot. z archiwum prywatnego Grażyny Bernatowicz



– Do pałacu królewskiego w Madrycie miałam spod naszej ambasady jechać kareta. Zwyczaj był taki, że po ambasadora, który ma pierwszy raz stanąć przed królewskim obliczem i wręczyć monarsze listy uwierzytelniające, z pałacu wysyłano kareta. Już oczami wyobraźni widziałam, jak jadę ulicami Madrytu kareta zaprzęzoną w trzy pary wspaniałych koni, a tu pod naszą ambasadą zatrzymał się wielki rolls-royce – opowiada pani profesor Grażyna Bernatowicz, mieszkanka Jazgarzewszczyzny.

Na spotkanie z królem Hiszpanii, którym od 1975 roku był Juan Carlos albo – jeśli ktoś chce wiedzieć dokładniej – Juan Carlos I Alfonso Víctor María de Borbón y Borbón-Dos Sicilias, syn Jana Burbona, hrabiego Barcelony, i Marii de las Mercedes, Księżniczki Obojga Sycylii, pani profesor jechała jako ambasador RP w Hiszpanii. Było to 12 czerwca 2002 roku. Jak do tego doszło, spróbujemy opowiedzieć.

Droga do dyplomacji

– Czy ja mam opowiedzieć historię całego życia, a pan coś z tego wykroi? – zapytała pani profesor z pewnym niedowierzaniem w głosie. Zgodziliśmy się, że pomijamy dzieciństwo, szkołę i maturę. Interesuje nas, dlaczego jako specjalizację wybrała po studiach politologię, bo w notce biograficznej przeczytaliśmy: „Grażyna Bernatowicz, polski politolog i dyplomata”. Odpowiedź była krótka i zaskakująca.

– Nie wybierałam politologii, choć polityką interesowałam się już na studiach. Pamiętam, że w czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim popłynęłam do mojego wuja do Argentyny. To były lata sześćdziesiąte, w których mało kto gdzieś jeździł, a ja, dwudziestoltnia dziewczyna, płynęłam statkiem do Argentyny, którą po przejściu szlaku bojowego z armią generała Andersa, wybrał jako swoje miejsce na ziemi mój wuj.

Byłam u wuja przez rok. Nauczyłam się języka hiszpańskiego, zainteresowałam Ameryką Łacińską i pomyślałam, że może coś z tym zrobię po studiach.

Skończyłam studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i poszłam na studium dziennikarskie. Chciałam być publicystką. Miałam już pewne doświadczenie, gdyż w szkole im. Narcyzy Żmichowskiej byłam redaktorem pisemka „Od rzeczy do rzeczy” z podtytułem „Nam nie jest wszystko jedno”, który podobna mi się do dziś. Po skończeniu szkoły też trochę pisałam, a ponie-



waż niektóre moje koleżanki poszły w kierunku dziennikarstwa, ja też chciałam.

Na studium dowiedziałam się, że po skończeniu nauki mogę pracować w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Powiem szczerze, że średnio mi się ten pomysł podobał. Gdybym chciała pracować naukowo, to bym została na uniwersytecie, a przecież nie zostałam.

Dziś już nie pamiętam, kto mnie namówił, może ojciec, dość że jednak poszłam pracować w instytucie. Na początku myślałam, że będę się zajmować poznawaną w Argentynie Ameryką Łacińską, ale zapotrzebowania na Amerykę Łacińską akurat wtedy nie było, więc mój promotor, profesor Maciej Perczyński, zaproponował, bym zajęła się Hiszpanią.

Z czasem ta moja Hiszpania rozszerzyła się na europejskie kraje basenu Morza Śródziemnego: Włochy, Portugalię, Grecję, gdzie następowały interesujące nas przemiany.

W Instytucie Spraw Międzynarodowych zakotwiczyłam się na całe dwadzieścia siedem lat. Kawał życia.

Zrobiłam doktorat, potem habilitację i któregoś dnia zadzwonił do mnie ówczesny sekretarz stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, śp. Andrzej Ananicz, z pytaniem, czy bym nie przeszła do MSZ.

Odpowiedź była łatwa. Jak szczerze wyznałam panu ministrowi, w życiu nie napisałam urzędowego pisma, nie kierowałam żadnym zespołem, nie wiem, gdzie należy przystawić pieczętkę, więc ta propozycja jest nie dla mnie. „No, to zalety już

znam, a jakie pani ma wady?” – zapytał niezrażony minister.

Trochę przesadził, pytając kobietę o wady, więc odpowiedzi nie było, za to zrobiłam uwagę, że słyszałam, iż w gmachu MSZ na Szucha nie ma dobrej atmosfery, bo tam wszyscy na wszystkich gadają, a korytarze aż szumią od plotek.

I tu znowu przegrałam, bo Andrzej Ananicz całkiem poważnie podsumował: „Dam pani tyle roboty, że nie będzie pani miała czasu wychodzić na korytarz i będzie święty spokój”. Więcej argumentów nie miałam. Przeszłam do MSZ.

Gdy szefem polskiej dyplomacji został Władysław Bartoszewski, zaproponował mi stanowisko wiceministra. Ja przekonywałam, że się nie nadaję, minister, że wie lepiej, i od 2000 do 2002 roku pełniłam funkcję podsekretarza stanu w MSZ.

Pani ambasador

– Po dwóch latach minister Bartoszewski przestał być ministrem. Moi szefowie zmieniali się często, a na czele resortu spraw zagranicznych stanął Włodzimierz Cimoszewicz. Złożył mi, tak jak jego poprzednicy, propozycję nie do odrzucenia,

przed którą, tak jak przed poprzednimi, broniłam się nieskutecznie. Miałam zostać ambasadorem w Hiszpanii.

„Nigdy nie byłam na placówce, więc nie potrafię nią kierować” – powiedziała ministrowi Cimoszewiczowi, a on ze spokojem odparł: „Znam paru takich, co nie byli i kierowali” i było po sprawie. Nie miałam wyjścia, musiałam się wziąć za naukę protokołu dyplomatycznego.

Przypomnę, że wtedy w Hiszpanii rządził król i w związku z tym, musiałam także poznać obowiązujący na dworze ceremoniał dworski.





Dostałam książkę i przystąpiłam do nauki. Przede wszystkim musiałam się nauczyć, jak mam się zachować w obecności króla, czyli na dworze. Co należy robić, czego nie robić, jak należy się ubrać, jak witać, kiedy można się odwrócić, jak do pałacu wejść, jak wyjść. Czy suknia ma być długa, czy na głowie ma być nakrycie, czy nie, co z rękawiczkami i tym podobne. Potem było szkolenie, jak się mam zachować, gdy zostanę z królem sam na sam.

Miałam rekomendację i pięknie oprawione listy uwierzytelniające od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, i z tymi listami zjawiłam się w Madrycie. Przedstawiłam się szefowi królewskiego protokołu i wyuczona czekałam, aż król Juan Carlos wyznaczy dzień, w którym przyjmie nowego ambasadora.

Doczekałam się. Zwyczaj jest taki, że pod ambasadę przyjeżdża po ambasadora zaprzężona w sześć koni kareta i wiezie ambasadora przez miasto do pałacu królewskiego. Stosownie ubrana, w długą spódnicę i bluzkę, bez rękawiczek i bez kapelusza czekałam na kareta, a tu podjechał pod ambasadę wielki jak trzy pokoje z kuchnią rolls-royce i wysiadł z niego skonfundowany szef protokołu. Powiedział, że konie zachorowały, że bardzo mnie przeprasza i zaprasza do tej wielkiej limuzyny. Żeby dodać pikanterii, poinformował mnie, że ten rolls-

royce to kawał historii, bo jest to подарunek Adolfa Hitlera dla generała Franco i ma kuloodporne szyby grubości dwóch centymetrów.

Nie powiem, żebym była zadowolona z tej zamiany. Bardzo chciałam jechać przez Madryt królewską kareta, a nie kuloodporną fortecą, ale nie miałam wyboru.

W królewskim pałacu

– Rolls-roycem zajęchałam przed pałac królewski w Madrycie, wysiadłam na rozwinięty dywan i w tym momencie kompania honorowa zagrała Mazurka Dąbrowskiego. Nie umiem opisać wrażenia, jakiego doznałam, stojąc i słuchając hymnu. Pierwszy raz w życiu dla mnie i tylko dla mnie grano na dziedzińcu królewskiego pałacu polski hymn.

Potem zostałam przez szefa protokołu wprowadzona do saloniku, gdzie czekali na mnie przedstawiciele naszej ambasady, którzy mieli mi w ceremonii wręczenia królowi listów uwierzytelniających towarzyszyć.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi do gigantycznej pałacowej sali, na końcu której stał król Hiszpanii Juan Carlos w towarzystwie ministra spraw zagranicznych.

Zgodnie z pobranymi naukami miałam podejść do króla i wypowiedzieć w języku hiszpańskim obowiązującą formułę: „W imieniu

Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego mam zaszczyt wręczyć jego królewskiej mości dokumenty, ustanawiające mnie ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym Rzeczypospolitej Polskiej w królestwie Hiszpanii”.

Wiedziałam, że kiedy skończę mówić, król się skłoni i ja powinienam zrobić to samo. Nie mogę broń Boże, wyciągnąć do króla ręki, chyba że król wyciągnie pierwszy, natomiast mam podać rękę ministrowi spraw zagranicznych. I wszystko odbyło się tak, jak trzeba. Król listy uwierzytelniające zabrał, podał szefowi protokołu i zaprosił mnie wraz z ministrem do gabinetu na krótką rozmowę, która zwyczajowo trwa kilkanaście minut.

Siadam, król przeprasza, że nie było karety, tłumaczy, że pierwszy raz się tak zdarzyło, że konie zachorowały i dlatego ceremonia odbiegała od tej, co zawsze.

Słuchałam tego już trochę rozluźniona, bo najważniejsze było za mną, i gdy król skończył, powiedziałam, że doskonale to rozumiem, bo mój pies też był dzisiaj jakiś taki nie bardzo.

Tu król wykazał zainteresowanie i zapytał: „Jaka rasa? – Niestety, nie wiem, jak jest po hiszpańsku mops” – powiedziałam i do rozmowy włączył się minister spraw zagranicznych,



który szukał odpowiedniej nazwy, a gdy wyjaśnił królowi, o jaką rasę chodzi, rozmawialiśmy o mopsie, który z Polski przyjechał do Hiszpanii. Potem rozmawialiśmy o NATO i król mówił, jak bardzo się cieszy, że Polska już jest członkiem traktatu. Wizytę kończyła rozmowa o Unii Europejskiej, do której Polska miała przystąpić, a Hiszpania miała nas na tej drodze wspierać.

Gdy pożegnałam króla, szef protokołu, który mnie odprowadzał, pochylił się do mnie i powiedział szeptem, że nikt jeszcze tak długo u króla nie siedział. „Mieliśmy kilka istotnych spraw do omówienia, więc musiało to trochę potrwać” – wyjaśniłam.

Jeszcze raz miałam okazję rozmawiać z królem Hiszpanii Juanem Carlosem, gdy w styczniu 2007 roku zmarł Ryszard Kapuściński. Na noworocznym, bardzo wytwornym przyjęciu dla korpusu dyplomatycznego (długie suknie pań i żakiety panów), gdzie był król z królową Zofią i następcą tronu z małżonką, szef protokołu anonsował każdego ambasadora w kolejności stażu. Ambasadorowie podchodzili do pary królewskiej i witali się, podając rękę, życzyli szczęśliwego nowego roku i przechodzili.

W kolejce byłam druga po ambasadorze Republiki Mauritius. Gdy doszłam do pary królewskiej, Juan Carlos powiedział, że chciałby na moje ręce w imieniu swoim i małżonki złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci Ryszarda Kapuścińskiego. Powiedział, że zna jego książki, które w Hiszpanii były bardzo czytane. Trwało to dłuższą chwilę, korpus dyplomatyczny się przyglądał, a gdy potem pytano mnie, o czym król ze mną rozmawiał, robiłam tajemniczą minę i odpowiadałam, że o bardzo ważnych sprawach obustronnych.

W czasie przyjęcia podszedł do mnie szef protokołu i powiedział: „Książę Asturii prosi panią ambasador na rozmowę”. Przeprowadził mnie do księcia, a ponieważ Ryszard

...nie umiem opisać wrażenia, jakiego doznałam, stojąc i słuchając hymnu

Kapuściński był laureatem nagrody księcia Asturii (*Premio Principe de Asturias*), która jest nazywana Noblem Ameryki Łacińskiej, książę powiedział, że chciałby osobiście na moje ręce przekazać wyrazy współczucia narodowi polskiemu, rodzinie Ryszarda Kapuścińskiego i jego bliskim. Opowiedział mi przy okazji, które książki pisarza przeczytał. To było bardzo miłe i przekazałam informację o tym spotkaniu do Polski.

Z rodziną królewską spotkałam się jeszcze po śmierci papieża Jana Pawła II. Choć w Hiszpanii rząd był bardzo socjalistyczny, została odprawiona państwowa msza żałobna w intencji Jana Pawła, na której była para królewska, następcą tronu oraz premier rządu i razem wpisywaliśmy się do księgi kondolencyjnej wyłożonej w nuncjaturze apostolskiej.

Przypomnę przy okazji, że Jan Paweł II był w 2003 roku z wizytą w Hiszpanii i na zakończenie powiedział w homilii: „Do zobaczenia, Hiszpanio”, choć pewnie wiedział,



że już do Hiszpanii nie wróci. Może dlatego hiszpański dwór tak uczcił jego pamięć.

Gdy papież był w Hiszpanii, miałam przyjemność być przedstawiona Ojcu Świętemu. Powiedziałam wtedy: „Ojciec Święty, jestem ambasadorem Polski w Madrycie”, a papież z wielką radością w głosie prawie zakrzyknął: „To tak, jak moja Hania Suchocka. Tak jak Hania. No, bardzo mi miło. Bardzo miło”.

Gdy zatelefonowałam do Hanny Suchockiej, która wówczas była ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej oraz Zakonie Maltańskim, i opowiedziałam o spotkaniu z Ojcem Świętym, dwa razy kazała sobie powtarzać, co powiedział o niej Ojciec Święty. „Naprawdę? Naprawdę?”. Nie mogła uwierzyć.



Ambasadorem w Hiszpanii byłam ponad pięć lat. Paru prezydentów, ministrów i paru premierów przetrwałam. Wróciłam do Polski przekonana, że teraz zajmę się czymś innym, ale minister Radosław Sikorski, który był szefem MSZ, powołał mnie znowu na stanowisko wiceministra. Zgodziłam się na okres dwóch i pół roku, ale przedłużyło się to do roku 2013.

**...paru prezydentów,
ministrów
i paru premierów
przetrwałam**



Czechy

– Gdy myślałam, że odejdę spokojnie na emeryturę, minister Sikorski wysłał mnie na ambasadora do Pragi. 11 czerwca 2013 roku rozpoczęłam misję w Czechach.

Inny kraj, inna kultura, zwyczaje i inny ceremonial. W Hiszpanii ambasador to był ktoś ważny. Czuło się to na każdym kroku. Kiedy jeździłam do regionów rozmawiać i promować Polskę, zabiegając o poparcie dla członkostwa w UE, zawsze towarzyszyły mi hiszpańskie media, ludzie przychodzili na spotkania, byli bardzo ciekawi.

W Czechach ambasador jak był potrzebny, to był wzywany, i wszystko. I to nie dotyczyło tylko mnie, ambasadora Polski, tylko w ogóle ambasadorów. Czesi nie są narodem skomplikowanym. Z grubsza dzielili się na tych, co Polski nie znali, i na tych, co nie bardzo ją lubili. Na pewno nie widzieli w Polsce kraju, do którego warto wybierać się turystycznie.

Kiedyś na jakimś spotkaniu powiedziałam, że ustanawiam swój złoty medal dla Czecha, który pojedzie nad Bałtyk, a nie tylko do Krakowa. Źle to wykombinowałam, bo wstał premier Bohuslav Sobotka i powiedział, że nad Bałtykiem był i nawet się kąpał.

Tak czy inaczej to odwziewało wtedy poziom zainteresowania Czechów Polską. Najdalej jeździli do Wrocławia i Krakowa. Nie było żadnej promocji turystycznej Polski i to trzeba było nadrabiać. Grunt był dobry, bo Czesi, w przeciwieństwie do nas, bardzo dużo czytają. W polityce są pragmatyczni. Odróżniają interes od emocji i tego może powinniśmy się od nich uczyć.

Widzę, że oglądają państwo moje ambasadorskie medale. Mam ich czternaście. Trzy cenię najbardziej: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, hiszpański Order Izabeli Katolickiej przyznawany w nagrodę „za nieskazitelną lojalność wobec Hiszpanii i zasługi obywateli hiszpańskich i cudzoziemskich dla narodu”



oraz Order Lwa Białego, który jest najwyższym odznaczeniem Republiki Czeskiej przyznany mi przez prezydenta Milosza Zemana.

Ambasadorem w Pradze byłam do grudnia 2017 roku. Czy mąż był ze mną na placówkach? Nie, nie był. Marek należy do tych mężczyzn, którym nie pasuje być dwa kroki za kobietą. Był mężem dojeżdżającym. Znalazł działkę w Jazgarzewszczyźnie i budował dom.

Ja jestem warszawianką od czterech pokoleń. Urodziłam się na Marszałkowskiej, mieszkałam na Wiejskiej przy Sejmie, potem na Stępińskiej przy Łazienkach, a on mi nagle powiedział, że mamy mieszkać gdzieś w krzakach. To było dla mnie okropne przeżycie. Powiedziałam sobie: „Nigdy w życiu”. Dziś nigdzie bym się stąd nie ruszyła. Mieszkamy tu jedenaście lat.

Moje hobby to życie rodzinne i książki. Mamy dwóch synów i pięcioro wnucząt. Syn Łukasz jest doktorem prawa i ekspertem BCC od spraw prywatyzacji, a Maciej poszedł w mamę i został dyplomata. Aktualnie jest na placówce w Hadze. Przedtem był kilka lat w Hiszpanii, a ten pobyt zaowocował książką *Hiszpania – Fiesta dobra na wszystko*. ■

fot. z archiwum prywatnego Krzysztofa Jarosza



Zawód
FOTOREPORTER





– Dziadek był cieślą. Stawiał w Mrokowie stodoły. Te po sąsiedzku to jego robota. Odziedziczyłem po dziadku fascynację drewnem – mówi Krzysztof Jarosz.

– Może dlatego kupiłem sobie pilarki spalinowe i bardzo lubię nimi pracować. Mogę nawet powiedzieć, że stało się to moją pasją. Drugą pasją, bo pierwszą jest fotografia.

– Komuś, kto przez chwilę patrzy na fotoreporterów fotografujących gwiazdy na ścianie, może się wydawać, że jest to zawód lekki, łatwy i przyjemny. Ale każdy fotoreporter wie, że jest to praca trudna, w ciągłym napięciu, wymagająca na przykład umiejętności chodzenia tyłem, bo przecież fotografujemy tych, którzy idą przed nami – mówi pan Krzysztof.

– Pamiętam, jak podczas któregoś z festiwali filmowych w Gdyni sesja fotograficzna była w porcie. Jeden z kolegów tak się zapamiętał w swojej pracy, że idąc tyłem i fotografując gwiazdy, zapomniał, że ma za plecami basen portowy. Cofał się, cofał i... wpadł do basenu. Stracił sprzęt i niewiele brakowało, by stracił życie, przyniesiony przez dobijające do nadbrzeża statki.

Wędrowki rodzinne

– Moi przodkowie pojawili się w Mrokowie gdzieś po 1864 roku, czyli po powstaniu styczniowym. – Mieszkamy na matkowiźnie – wtrąca pani Jola, żona pana Krzysztofa.

– Raczej na dziadowiznie, a nawet pradziadowiznie – śmieje się pan Krzysztof – bo działka jest po mojej mamie, ale przodkowie nasi, sześciu braci Małeckich, pojawili się w Mrokowie podobno w tamtym czasie. Przybyli z Galicji. Z przekazów rodzinnych znam tylko Pawła Małeckiego, który miał w Mrokowie pięć hektarów ziemi, właśnie w tym kwartale, w którym mieszkamy. To był kwartał rodziny Małeckich.

Z tego rodzinnego pnia wywodził się wieloletni sołtys Mrokowa, Jan Małecki, i były prezes OSP w Mrokowie, Marian Małecki, brat mojej mamy. Człowiek, który za młodu miał bardzo ciężkie życie, bo w domu się nie przelewało. Dziadek miał zaledwie hektar ziemi i siedmioro dzieci. Trójkę z pierwszego i czworo z drugiego małżeństwa.

Mój ojciec, Władysław Jarosz, podczas drugiej wojny światowej jako młody chłopak walczył w lubelskiej partyzantce. Żeby nie trafić do więzienia, musiał po wyzwoleniu uciekać z Lubelszczyzny. Wziął ze sobą drewnianą walizeczkę, wyszedł z domu i gubił za sobą ślad. Najpierw wyjechał do Wrocławia, gdzie skończył średnią szkołę muzyczną i przez jakiś czas uczył w ośrodku dla trudnej młodzieży. Potem przez kilka dni na początku lat pięćdziesiątych budował warszawskie metro i pracował w gdańskiej stoczni. Jak poznał mamę, która była nauczycielką w Barlinku, nie wiem, ale w 1951 roku wzięli ślub i zamieszkali niedaleko od Mrokowa, w Złotokłosie.

Po kilku latach wynieśli się do Wrocławia i dalej w Koszalińskie, gdzie przez kilka lat ojciec był dyrektorem w jednym z PGR-ów. Później przenieśli się do miejscowości Przymiarki, a stamtąd do Świdwina. Tata został kierownikiem kółka rolniczego i grał na trąbce w orkiestrze stacjonującego tam dywizjonu wojsk lotniczych. Był wybitnym specjalistą, jeśli chodzi o hodowlę koni i owiec.

Ja urodziłem się w Świdwinie – jak to mówiono w PRL – na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Tam chodziłem do szkoły podstawowej, a potem poszedłem do technikum melioracji i łąkarstwa w Sławnie.

Znaną i powszechnie szanowaną postacią w Świdwinie był wtedy fotograf, pan Kolinko. Niestety nie pamiętam imienia, ale pan Kolinko był dla mnie wzorem. Jeździł po Świdwinie i okolicach i wszystko fotografował, a ponadto grał na perkusji i gitarze. Bardzo chciałem być taki, jak pan Kolinko.

Gdy moi rodzice w 1972 roku wrócili do Mrokowa, wyjechałem do Siedlec, by skończyć technikum o takim samym jak w Sławnie profilu. W Mrokowie spędzałem wakacje.

Fotografia

– Mój pierwszy poważny kontakt z fotografią zaczął się w wojsku. Tam też zresztą miałem niewielki epizod sportowy. Podnosiłem ciężary w najlżejszej wadze i nawet odnosiłem sukcesy. Wywalczyłem tytuł wicemistrza dywizji, bo prawdę powiedziawszy, nie miałem w wadze do 54 kg konkurentów – śmieje się pan Krzysztof. – Ale ta sportowa przygoda nie trwała długo, bo podnoszenie w kółko ciężarów było tak nudnym zajęciem, że szybko z niego zrezygnowałem.

W wojsku też na poważnie zajmowałem się fotografią. Fotografowałem dowódców, generałów, akademie ku czci, przysięgi i inne wojskowe uroczystości. Robiłem dokumentację imprez, odbywających się w klubie oficerskim, zdjęcia do dowodów i paszportów. Oczywiście były to czasy, gdy filmy trzeba było samemu wywołać i samemu robić czarno-białe odbitki.

Po wojsku wylądowałem w urzędzie gminy w Tarczynie i przez dziewięć lat pracowałem jako instruktor melioracji i łąkarstwa. Z perspektywy tego, co dziś robię,

...będę malował obrazy za pomocą obiektywu



uważam, że to był czas niepotrzebnie stracony. Mogłem od razu zająć się fotografią.

Jestem fotograficznym samoukiem. Miałem kontakt z ludźmi, którzy umieli fotografować, i od nich się uczyłem. Należał do nich między innymi sławny fotografik Witold Dederko, który od 1935 był kierownikiem laboratorium Kodaka w Warszawie, wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej i Państwowej Wyższej Szkole Filmowej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, a także napisał dwanaście książek z dziedziny fotografii.

Zresztą, poza tą wojskową praktyką fotograficzną miałem też zajęcia z fotografii w technikum. Nauczyciel od fizyki prowadził kółko fotograficzne, uczył nas robienia odczynników, czyli wywoływacza i utrwalacza, uczył kadrowania, robienia zdjęć, wywoływania filmów i robienia odbitek. Wszystko to bardzo mi się przydało w wojsku i potem, gdy na poważnie zająłem się fotografią. Ponieważ nie miałem takich zdolności plastycznych jak moje rodzeństwo, bo mój brat jest malarzem, a obie siostry pięknie malują amatersko, zdecydowałem, że będę malował obrazy za pomocą obiektywu, że fotografowanie będzie moim hobby i moim pomysłem na życie.

I tak się zaczęło. Grałem już na perkusji, więc coraz bliżej było mi do pana Kolinko, którego jako chłopak podziwiałem w Świdwinie.

Artyści, celebryci, życie

– Na początku fotoreporterskiej drogi próbowałem dostać się do istniejącej od 1951 roku w Warszawie Centralnej Agencji Fotograficznej, która należała do RSW „Prasa-Książka-Ruch” i była jedyną agencją udostępniającą prasie serwis fotograficzny. Niestety nie wyszło. Nie przyjmowano ludzi spoza układu – śmieje się pan Krzysztof. – Mogłem przez jakiś czas dostarczać swoje zdjęcia jako współpracownik, ale mnie nie o to chodziło.

Postanowiłem wobec tego być wolnym strzelcem. Nawiązałem, pamiętam, współpracę z redaktorem Jackiem Żemantowskim, świetnym sportowcem, który odnosił sukcesy w szermierce i szachach, ale był też świetnym dziennikarzem i przez dziesięć lat redaktorem naczelnym „Sportowca”, dla którego robiłem zdjęcia. Robiłem też autorskie reportaże dla tygodnika „Świat Młodych” i czasopisma „Zygzak”.

Pamiętam, że jako jeden z pierwszych zrobiłem reportaż ze schroniska na Paluchu i pokazałem ponury obraz życia zgromadzonych w nim zwierząt.

Dla czasopisma „Sportowiec As” fotografowałem mistrzów sportu, w tym mistrzów świata chińskiej sztuki walki wu-shu. Z ogromnym sentymentem oglądam te zdjęcia do dziś. Pamiętam, że uruchomiliśmy w nim stronę najpiękniejszych dziewczyn sportu, więc jeździłem po Polsce i fotografowałem piękne sportswomenki. Ja robiłem zdjęcia, a Jacek Żemantowski wywiady. Niestety, redaktor Żemantowski zmarł nagle w 2002 roku i ten przyjemny okres mojego życia mogę tylko wspominać.



Kolejny etap fotoreporterskiej drogi zaprowadził mnie do popularnego wówczas tygodnika „Przyjaciółka”. Jeździliśmy po kraju, szukając ciekawych ludzi. Znowu mogę powiedzieć, że to był bardzo fajny okres w moim życiu. Nie tylko robiłem zdjęcia, ale po Polsce jeździliśmy moim samochodem, bo jako jeden z nielicznych miałem auto. Redakcja płaciła za paliwo, ja lubiłem prowadzić, więc wszystko przez kilka lat układało się dobrze. Odszedłem, gdy nowe kierownictwo redakcji doszło do wniosku, że podróży po kraju finansować nie będzie, a ja nie zamierzałem do interesu dokładać.

Szczęśliwym trafem zacząłem współpracę z wydawnictwem Bauer. Mówię „szczęśliwym”, bo idąc ulicą, spotkałem kolegę, świetnego fotoreportera Michała Kułakowskiego. Chwilę pogadałiśmy, opowiedziałem, że odszedłem z „Przyjaciółki”, a on wysłuchał mnie i powiedział: „Co ty się, Krzysiek, męczysz, chodź ze mną” i poszliśmy do Jerzego Webera, naczelnego tygodnika „Tele Tydzień”. I tak rozpoczęła się moja współpraca z tym popularnym tygodnikiem. Robiąc dla nich zdjęcia, przy okazji pracowałem dla czasopisma „Twój weekend”.

Potem doszła współpraca z serwisem „Świat seriali” i tygodnikiem „Życie na gorąco”. To był ciekawy okres w moim zawodowym życiu. Jeździliśmy z żoną na różne festiwale, poznawaliśmy wielu ludzi, fotografowałem artystów filmowych, gwiazdy estrady, robiłem reportaże z domów znanych osób.

Z przyjemnością wspominamy z żoną, która jeździ ze mną na sesje fotograficzne, bo jest kosmetyczką i ma pod ręką walizkę z kosmetykami, sesje w domu Beaty Tyszkiewicz, Marii Koterbskiej, Jacka Lecha czy Zygmunta Chajzera i wielu innych.

Założyliśmy stronę internetową, którą otwiera krótka informacja.



...teraz zajmuję się głównie światem show-biznesu

„Jestem fotoreporterem z wieloletnim stażem zawodowym. Zawód fotoreportera rozpocząłem w roku 1986. Od 1989 prowadzę własną Agencję Fotograficzną. Współpracowałem z wieloma wydawnictwami m.in.: Bauer, Axel Springer oraz z takimi tytułami jak: „Świat Młodych”, „Sportowiec”, „Przyjaciółka”, „Tele Tydzień”, „Życie Na Gorąco”, „Świat Seriali” i wiele innych. W chwili obecnej na stałe współpracuję z Polską Agencją Fotografów FORUM. Zajmuję się fotografią ślubną, wykonuję portrety dzieci oraz sesje rodzinne. W chwilach wolnych fotografuję florę i faunę. Pracuję na najnowszym sprzęcie firmy CANON”.



Wspomnienia

– Zrobiłem w swoim życiu tysiące zdjęć. Wspominałem o koleźce, który w porcie w Gdyni wpadł do wody, robiąc zdjęcia, ale wiele niebezpiecznych sytuacji czeka na fotoreporterów w każdym prawie miejscu.

Na przykład po pokazie jakiegoś fragmentu serialu filmowego robiliśmy zdjęcia gwiazd na basenie. Wszyscy zaaferowani robimy zdjęcia, nagle plusk, bo kolega tak się zajął tym, co robi, że zapomniał, gdzie jest. Cofnął się o krok za daleko, tyle tylko że jemu udało się uratować aparat i nic mu poza kąpielą nie groziło.

Często do niebezpiecznych zdarzeń dochodzi na ulicy, gdy gwiazdy wychodzą z imprezy, a fotoreporterzy chcą zrobić tak zwane „dożynki”. Wtedy zapominają, co mają za plecami, cofają się, wpadają na latarnie, słupy, wpadają w kosze na śmieci, a w najgorszych wypadkach pod samochód. Byłem świadkiem wielu takich historii.

Czasem ktoś, kto obserwuje pracę reporterów, na przykład na pokazach mody, zastanawia się, dlaczego nie przychodzimy na takie gale w garniturach, ale nie zauważa, że często siedzimy na brudnej, betonowej podłodze w halach, gdzie te pokazy się odbywają.

Moje życie wbrew pozorom nie jest ciekawe, bo ja tylko pracuję. Oczywiście za każdym razem jestem w innym miejscu, w innej sytuacji, spotykam i poznaję nowych ludzi, ale to trwa tylko chwilę.

Teraz zajmuję się głównie światem show-biznesu. Fotografuję gwiazdy, pokazy mody, robię zdjęcia z premier filmowych. Dla mnie jest to chleb powszedni, bo się

...zrobiłem w swoim życiu tysiące zdjęć

w tym świecie obracam. Nie zaskakuje mnie więc obserwacja, że gwiazdy są fajne, miłe, sympatyczne do czasu, gdy nie zdobędą popularności. Wiele mógłbym wymienić dla przykładu nazwisk, ale mnie jak lekarza obowiązuje tajemnica. O chorobach nie mówię – śmieje się pan Krzysztof.

– Często w tym pierwszym okresie błyskawicznie skracają dystans. Przechodzą na „ty” i mówią „zrób mi zdjęcie”. Myślą, że nie muszą się przedstawić, bo przecież są na ścianie i to wystarcza, a niestety nie wystarcza. Bo nie są jeszcze znane i człowiek nie wie, kogo fotografuje. A jak zapyta o nazwisko, to widzi grymas zdziwienia na twarzy i w oczach pytanie: „To ty nie wiesz?”. Nie wiem. Proszę się przedstawić.

Są też takie, którym popularność na tyle zawróciła w głowie, że przy ścianie zatrzymują się na chwilę, bo im już nie zależy. Wtedy fotoreporterzy odkładają aparaty na czerwony dywan i uczą gwiazdę pokory. Nie, to nie. Nie masz ochoty się zatrzymać, to my nie mamy ochoty cię fotografować. Na jakiś czas to skutkuje.

Fotoreporter to zawód bardzo stresujący. Nie wielu z nas dożywa sędziwego wieku – mówi pan Krzysztof.

– Moje dzieci, a mamy ich pięcioro, nie mają zacięcia do fotografii, więc rodzinnego interesu fotograficznego nie będzie.

Najstarszy, Lubomir, jest absolwentem akademii muzycznej na Okólniku. Gra na trąbce, a także na trąbce barokowej. Teraz gra w Zespole Pieśni i Tańca Mazowsze. Gdy był mały, usypiał tylko przy muzyce poważnej.



Milenka wprawdzie grała na trąbce, ale nie miała chęci zająć się muzyką. Zajmuje się integracją sensoryczną dzieci.

Emilka jest urzędnikiem państwowym. Pięknie śpiewa i zajmuje się w urzędzie starostwa w Pruszkowie kulturą. Krzysztof zaczął edukację muzyczną na trąbce, ale ponieważ na trąbce gra Lubomir, zmienił trąbkę na gitarę klasyczną. Ostatni z piątki, Piotr, obdarzony talentem muzycznym, znalazł swój sposób na życie. Zajął się beatboxem.

Wracam jeszcze na chwilę do fotografii. W 2007 roku pojechaliśmy z żoną do Zakopanego na Puchar Świata w Skokach Narciarskich. Fotografowałem treningi, ludzi pod Dużą Krokwią, chciałem uchwycić atmosferę wielkich zawodów. Pierwszego dnia, czyli dwudziestego stycznia, był konkurs drużynowy, a drugiego – indywidualny.

Zawody zbliżały się ku końcowi, fotoreporterzy zbierali się na zeskoku, aby fotografować zwycięzców, a miał jeszcze skakać Czech Jan Mazoch. Ja z kolegą z Torunia nie poszliśmy na zeskok, tylko na przełaj, pod górę na skocznię. Stanęliśmy, czekamy na skoczka i widzimy Czecha, który wykonuje w locie jakieś dziwne ruchy. Nawet nie spojrzałem, co mam w kadrze, tylko nacisnąłem migawkę. Wszystko działo się błyskawicznie. Obudził się we mnie instynkt łowcy właściwy fotoreporterom.

Okazało się, że Jan Mazoch, skacząc w złych warunkach, stracił równowagę w locie, spadł i na wiele godzin stracił przytomność. W stanie krytycznym odwieziono go do szpitala Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ale wszystko, jak pamiętam, skończyło się dobrze.

Jako jedyny miałem zdjęcie tego feralnego lotu. Kupiły je wszystkie światowe agencje interesujące się sportem, a ja uznałem je za swoje zdjęcie sztandarowe.

I to są chwile, dla których warto ten zawód uprawiać. Pan Kolinko, fotograf ze Świdwina, byłby ze mnie dumny. ■



Chińczykom i Wietnamczykom możemy pozazdrościć. W ich tradycji Nowy Rok jest obchodzony przez dwa tygodnie, a nie tak jak u nas dwa dni, co nie znaczy, że oni przez dwa tygodnie nie pracują, tylko świętują. Mogliśmy się o tym dowiedzieć na noworocznym spotkaniu zorganizowanym przez Stowarzyszenie Wspierania Przedsiębiorczości Wólka Center w Wólce Kosowskiej.





Po raz pierwszy w historii istnienia Centrum Handlowego w Wólce Kosowskiej organizatorzy zaprosili na uroczystość powitania Roku Świni, który według chińskiego kalendarza księżycowego rozpoczął się 5 lutego i będzie trwał do 24 stycznia przyszłego roku, mieszkańców naszej gminy.

Trzeba powiedzieć, że przyszło ich bardzo wielu. W przyszłym roku przyjdzie z pewnością jeszcze więcej, bo takie noworoczne spotkania mają stać się coroczną tradycją. Na spotkanie mógł przyjść każdy, kto miał ochotę zobaczyć tradycyjny chiński taniec smoka, posłuchać koncertu chińskich i wietnamskich artystów (śpiewali także nasze piosenki biesiadne) i spróbować tradycyjnych chińskich i wietnamskich potraw, których – jak przystało na świąteczny stół – było wiele.

Według chińskich astrologów Rok Świni, który następuje po Roku Psa, to świetny czas dla kobiet na urodzenie dziecka. Dzieci urodzone w 2019 roku będą cechowały wytrzymałość, stanowczość i samodyscyplina.

Astrologowie mówią też, że największe szanse na urodzenie chłopca będą miały matki, które w 2019 roku ukończą 18, 20, 30 i 42 rok życia i których dzieci zostaną poczęte w lipcu. Z kolei dziewczynki urodzą mamy 21, 22 i 29-letnie, które będą w ciąży od kwietnia. Dziewczynki urodzą czarujące, odrobinę naiwne, skromne i mające dobry apetyt.

Tak twierdzą chińscy astrologowie. Kto chce, niech wierzy, tylko niech nie pomyli dat, planując płęć dziecka.

Byliśmy na tym spotkaniu i radzimy zakreślić sobie w przyszłorocznym kalendarzu datę 5 lutego. Wólka Center już zaprasza.

Międzynarodowej społeczności Wólki Kosowskiej noworoczne życzenia szczęścia, pomyślności i dobrobytu złożyła w imieniu mieszkańców gminy Lesznowola pani wójt Maria Jolanta Batycka-Wąsik. ■



Dwa razy tak

– Niezbadane są drogi, którymi nas Pan Bóg prowadzi. W parafii św. Marii Magdaleny w Magdalence byłem wiele razy, ale nigdy nie przypuszczałem, że zostanę tu proboszczem i na wiele lat związę swoje życie z mieszkańcami naszej gminy – mówi ks. proboszcz Mirosław Cholewa. Spotkaliśmy się, by o tych drogach porozmawiać i opowiedzieć o nich Czytelnikom.

– W mojej rodzinie księży nie było. Jako chłopak nie myślałem, że będę księdzem. Nawet wtedy, gdy byłem ministrantem, nie myślałem o seminarium duchownym. Ale przyszedł taki dzień, taki moment w życiu, że coś się we mnie zmieniło. Wiem, że jeśli powiem, że odkryłem Boże powołanie, zapytacie: „A jak to się czuje? Jak to się objawiło?”. Powiem więc, że się nawróciłem. Przystałem myśleć o tym, czego ja chcę od Boga, tylko zacząłem zastanawiać się nad tym, czego Bóg chce ode mnie. Nawróciłem się z religijności na wiarę. I miałem ku temu powód.

Poznanie z Magdalenką

– Pierwszy raz trafiłem do Magdaleny, gdy byłem diakonem Seminarium Duchownego w Warszawie. Przez cały rok akademicki 1982/1983 mieszkałem wraz z innymi diakonami w domu rekolekcyjnym tu, pod lasem. Dom nazywał się Emaus.

Tak jak biblijna wioska w Izraelu oddalona według Biblii sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy.

Ten rok akademicki z uwagi na liczbę studentów był dla seminarium w Warszawie szczególny. Było ich tylu, że trzeba było znaleźć miejsce, gdzie można by prowadzić zajęcia. Znalaziono takie dodatkowe miejsca w Magdalence i na warszawskim Tarchominie. Jeden rocznik studentów trafił do Magdaleny, jeden na Tarchomin, a cztery pozostałe uczyły się na Krakowskim Przedmieściu – wspomina ksiądz Mirosław.

– Drugi raz trafiłem do Magdaleny po studiach specjalistycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie robiłem doktorat z teologii dogmatycznej. To był rok 1991. Przez rok byłem tu dyrektorem domów rekolekcyjnych, bo wtedy były w parafii dwa takie domy. Jeden, który istnieje do dziś, i drugi archidiecezji warszawskiej w miejscu, gdzie dziś jest szkoła.

Myślałem wtedy, że zapuszczę w Magdalence korzenie, ale po roku zostałem wezwany do seminarium, gdzie przez czternaście lat byłem ojcem duchownym wszystkich kleryków.

Po czternastu latach, w 2005 roku, po raz trzeci wróciłem do Magdaleny, tym razem jako proboszcz parafii. Od tamtego dnia minie w tym roku czternaście lat. Jeśli ta czternastka coś w moim życiu oznacza, to powinienem oczekiwać jakiegoś nowego wyzwania. Zobaczymy, czy będzie.

Droga do seminarium

– Moi rodzice pochodzą ze wschodnich rubieży Polski, z granicy województw siedleckiego i lubelskiego. W jednej wiosce o trudnej nazwie Świerże w parafii Suchowola Radzyńska i drugiej o nazwie Skoki w powiecie radzyńskim mieszkały rodziny mojej mamy i ojca.

Z opowieści rodzinnych wiem, że ojciec działał w Armii Krajowej, a brat mamy był jednym z żołnierzy niezłomnych, który walczył jeszcze dwa lata po zakończeniu wojny. Z tego względu rodzina dla własnego bezpieczeństwa musiała opuścić rodzinne strony i moi rodzice, którzy pobrali się w 1946 roku, przenieśli się do Węgorzewa na Mazury. Tam urodził się mój najstarszy brat, Waldemar.

Ponieważ z Węgorzewa do rodzinnej wsi, gdzie zostali dziadkowie, było bardzo daleko, rodzice po pewnym czasie podjęli decyzję, że przeniosą się do Warszawy.

Zamieszkali na Muranowie, na terenach dawnego getta. W 1951 roku urodziła się moja siostra Bożena, a sześć lat później ja.

Mam takie zdjęcie kościoła pod wezwaniem św. Augustyna na Nowolipkach, na którym jedyną budowlą wśród morza ruin jest ten kościół. Gdy Niemcy likwidowali getto, w kościele zrobiono magazyn, w którym składowano mienie zrabowane Żydom. Potem z kościoła zrobiono stajnię. W czasie powstania warszawskiego na wieży kościelnej usytuowany był punkt obserwacyjny i gniazdo niemieckiej broni maszynowej. Po powstaniu Niemcy podpalili dach świątyni i zamierzali kościół wysadzić. Nie zdążyli.

Dlatego był po wojnie najwyższą budowlą i jednym z niewielu budynków pozostałych na terenie byłego getta. W 1947 roku dzięki funduszom przyznanych przez Radę Prymasowską Odbudowy Kościołów Warszawy, kościół oddano do użytku wiernym.

Pamiętam, że gdy w latach sześćdziesiątych budowano osiedle przy obecnej Alei Jana Pawła II, to jeszcze odkopywano szczątki ludzkie. Mówię o tym dlatego, że z tym kościołem było w pewnym sensie związane moje dzieciństwo. Tam się wychowywałem.

Zawsze byłem blisko Kościoła, nie tylko dlatego że moja rodzina była głęboko wierząca i praktykująca,

ale po pierwszej komunii dołączyłem do grupy ministrantów i byłem w niej aż do wstąpienia do seminarium, choć jeszcze wtedy o seminarium nie myślałem. W pewnym momencie zostałem grupowym, a później prezesem ministrantów.

To była ogromna fucha, bo miałem szesnaście lat, a ministrantów było ponad stu i taki prezes to był ktoś. Chodziłem wtedy do technikum elektroniczno-mechanicznego im. Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na ulicy generała Zajączka.

W roku, w którym szedłem do seminarium duchownego, z technikum szła do seminarium cała grupa chłopaków.

Rodzice, choć byli moją decyzją zaskoczeni, przyjęli ją z głębokim spokojem. Powiem nawet, że byli dumni, że poczułem powołanie i tak zdecydowałem.

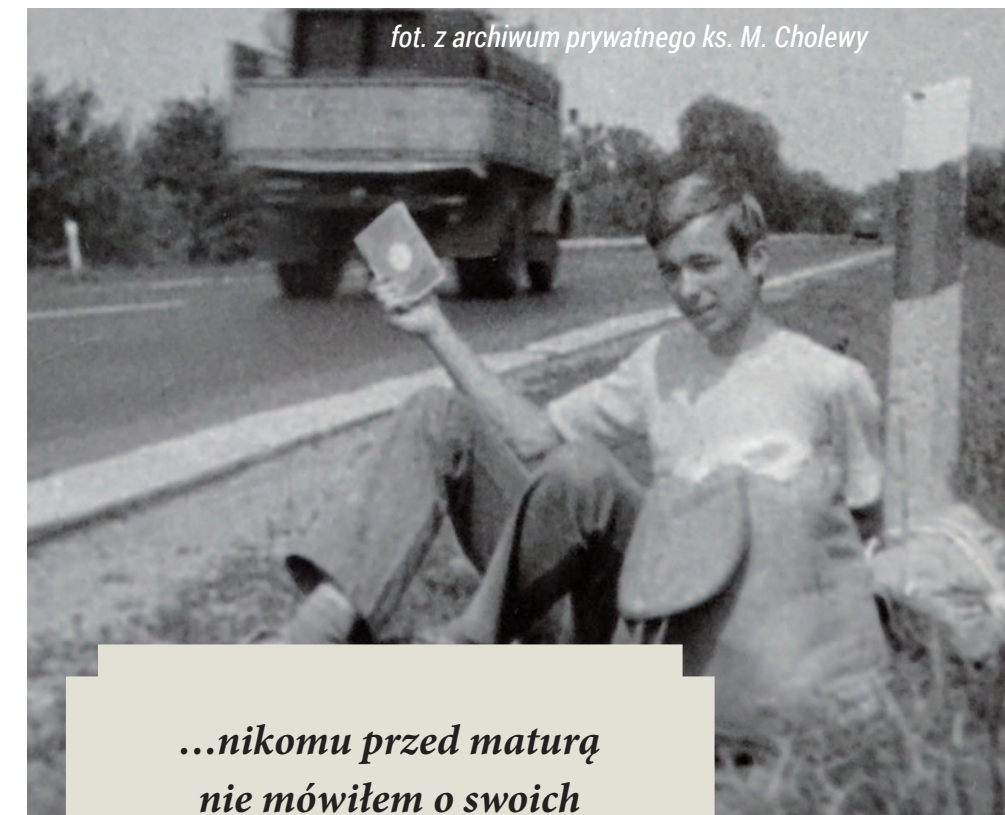
Teraz pewnie znowu zapytacie, jak to powołanie w sobie odkryłem, więc opowiem.

Był taki dzień

– Rok przed seminarium, w lipcu 1975 roku, wybrałem się z przyjaciółmi na rajd rowerowy w Bieszczady. Miałem osiemnaście lat. Pogoda nam nie sprzyjała, było zimno, padał deszcz. Trzeciego dnia rajdu dojeżdżaliśmy do Sandomierza. Pamiętam, że był ostry zjazd, rozciągnięty peleton, jechaliśmy szybko, bo z górki, rowery były ciężkie, obciążone. W pewnym momencie wyprzedzał mnie samochód ciężarowy z przyczepą.

Zapamiętałem tylko tyle, że zjechał mi drogę, nie miałem gdzie uciec i dostałem się pod koła rozpędzonej przyczepy. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że nie miałem prawa przeżyć tego wypadku. Rower został prawie zmiażdżony, a ja wylądowałem w szpitalu.

Ku zdziwieniu lekarzy, którzy musieli mnie trochę poszywać, jakimś cudem nie doznałem żadnego złamania. Rajd oczywiście dla mnie się skończył, wracałem do domu



...nikomu przed maturą
nie mówiłem o swoich
planach

pociągiem, ale wracałem jakiś inny. Przeżyłem szok i coś się we mnie dokonało. Doznałem swego rodzaju nawrócenia.

Zawsze byłem blisko Boga, blisko Kościoła, w stosunku do moich rówieśników ponadnormatywnie religijny, ale po tym wypadku zmieniła się moja modlitwa.

Przed wypadkiem miałem swoje wizje, plany na przyszłość, marzenia i gdy się modliłem, to prosiłem Boga o spełnienie tych planów. Po wypadku, gdy uświadomiłem sobie, że byłem tylko o krok od wieczności, już nie prosiłem Boga o coś, tylko starałem się słuchać, czego Bóg chce ode mnie. Skoro nie przeniosłem się do wieczności, uświadomiłem sobie, że Bóg mnie z jakichś powodów pozostawił na ziemi.

Nawróciłem się z religijności do wiary. Wiary, że Bóg czegoś ode mnie oczekuje. Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że do czasu tego wypadku, to choć byłem religijny, uciekałem przed Bogiem. Przed powołaniem.

We wcześniej, nawet gdy modliłem się i odmawiałem *Ojcze nasz*, mówiąc: „Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi” – w głębi serca myślałem: „Bądź wola moja”.

Po dwóch, czy trzech miesiącach takich rozważań, doszedłem do wniosku, że pójść do seminarium, choć przedtem, nawet gdy ksiądz mówił do mnie jako ministranta: „A może zostałeś księdzem?” – nie dopuszczałem do siebie tej myśli.

Któregoś dnia powiedziałem sobie: „Panie Boże, choć nie ma we mnie entuzjazmu, mam wątpliwości, czy podołam, czy będę wierny, zrobię tak, jak chcesz. Bądź wola Twoja”.

I takie było moje nawrócenie z religijności do wiary. Bo tak rozumiem wiarę, że wchodzę w relację z Panem Bogiem, że staram się odczytywać Jego zamiary, Jego plany, pełnić Jego wolę. Wierzę, że mi tę wolę objawia.

Ostatni rok maturalny był jednocześnie moim przygotowaniem do

seminarium. Nikomu przed maturą nie mówiłem o swoich planach, bo bałem się, że mnie na egzaminie obleją. Przecież to było technikum imienia PZPR, a ja w czasach głębokiego PRL-u zamierzałem pójść na księdza.

Ksiądz proboszcz

– To było trzydzieści pięć lat temu. Piękny słoneczny dzień 29 maja 1983 roku. Głębokie, duchowe przeżycie dla dwudziestu dwóch młodych ludzi z archidiecezji warszawskiej, przyjmujących święcenia kapłańskie, i przeżycie dla rodzin. Potem była w domu skromna uroczystość. Siedzieliśmy w gronie najbliższej rodziny przy obiedzie, w trzydzieści osób ściśnięci jak sardynki za stołem w mieszkaniu na Muranowie.

W Boże Ciało była msza prymicyjna, czyli pierwsza msza sprawowana uroczystość przez nowego wyświęconego kapłana (neoprezbitera) z udziałem społeczności parafialnej, podczas której wraz z kolegą z seminarium, księdzem Norbertem Kondem, samodzielnie sprawowaliśmy liturgię w asyście proboszcza parafii św. Augustyna. Po mszy jeszcze raz w gronie rodzinnym spotkaliśmy się na domowym obiedzie.



...trzydzieści pięć lat temu dwudziestu dwóch młodych ludzi przyjmowało święcenia kapłańskie

Jak śliwka w kompot

– Ten rozdział trwa już czternaście lat, ale początek zapamiętam na zawsze, bo wpadłem jak śliwka w kompot. Nie dość, że musiałem się uczyć od nowa duszpasterstwa i zarządzania parafią, to w Magdalence trwała przebudowa i modernizacja kościoła. Wszedłem na plac budowy, który wcześniej architektonicznie przygotował ksiądz Andrzej.

W kościele akurat zakładano ogrzewanie posadzkowe, więc musieliśmy się z kościoła na cały okres wakacji przenieść do Sali Miłosierdzia za kościołem i tam, a także na świeżym powietrzu odprawialiśmy msze święte.

Kancelaria, cmentarz, budynki, cała infrastruktura, wszystko to spadło na moją głowę. Naprawdę musiałem się wiele uczyć. Ktoś, kto zajmuje się swoim jednorodzinny domem, wie, że wszystko ma na głowie, od zatłoczonej rynny po naprawy, opłacanie mediów, remonty, podatki, przeglądy pieca i tym podobne. Tak samo w parafii. Wszystko jest na głowie proboszcza.

Trzeba też zarządzać ludźmi. Jest tu spory zespół księży, wiele zespołów osób świeckich i cały szereg dzieł parafialnych, którymi trzeba kierować. Jest kawiarenka, gazeta, internet, biblioteka, szkoła. Jeśli szykujemy festyn parafialny, to trzeba zabezpieczyć wszystkie służby zapewniające bezpieczeństwo, organizację festynu, obsadę medyczną, a za wszystko personalnie odpowiada proboszcz. Dzięki Bogu i zaangażowaniu wielu parafian daję radę.

Od tego dnia rozpoczęła się posługa księdza Mirosława Cholewy. Przez wiele lat pracowałem jako ojciec duchowny w seminarium. Nie będę opowiadał o mojej pracy z niewidomymi, ludźmi samotnymi, starszymi, o wolontariacie, wakacyjnej pracy z ludźmi chorymi, prowadzonych także w Magdalence rekolekcjach i o uczestnictwie w pielgrzymkach, o parafiach, w których sprawowałem posługę kapłańską, o trzyletnich studiach specjalistycznych, pracy naukowej na Papieskim Wydziale Teologicznym. Opowiem, jak po raz trzeci trafiłem do Magdalence.

Przyjaźniliśmy się z księdzem Andrzejem Grefkowiczem od lat. Zapraszał mnie na różne uroczysto-

ści parafialne, uczestniczenie w liturgiach, odpustach i tak dalej. Gdy skończyłem posługę w seminarium, przez pół roku byłem kapelanem w Zgromadzeniu Sióstr Opatrzności Bożej w Grodzisku Mazowieckim i któregoś dnia przyjechał do mnie ksiądz Andrzej.

Rozmawialiśmy i w pewnym momencie zapytał: „Mirku, a nie przyszedłbyś do Magdalence na proboszcza? – Jeśli ksiądz kardynał się zgodzi, to czemu nie. Proszę bardzo” – odpowiedziałem i ksiądz Andrzej poszedł na rozmowę do śp. księdza prymasa Józefa Glempa.

10 maja 2005 roku otrzymałem nominację na proboszcza parafii św. Magdy Magdaleny w Magdalence. Zaczął się nowy rozdział w moim życiu.



Mamy na terenie parafii blisko dwa i pół tysiąca uczniów w szkołach, którym trzeba zapewnić lekcje religii, czyli zatrudnić dziesięciu katechetów.

Niby prosta sprawa – kolęda. Ale wiele godzin trzeba spędzić, żeby ułożyć jej grafik, rozdzielić sołectwa i osiedla między księży, dobrać właściwie dni i godziny wizyt. Opracować koncepcję kolędy i odpowiedni folder, który można zostawić w odwiedzanym domu. Za to wszystko i wiele innych działań odpowiedzialny jest proboszcz. Jestem też naczelnym redaktorem kwartalnika „Pastore” poświęconego formacji kapłańskiej. Na brak zajęć nie narzekam.

Szkola

– Gdy zostałem proboszczem parafii, wiele osób pytało mnie, czy nie myślę o budowie szkoły, o otwarciu szkoły katolickiej. Szczerze odpowiadałem: „Nie myślę”. Trwała jeszcze modernizacja i rozbudowa kościoła, zaplecza parafii, a z pieniędzmi było krucho, więc jak tu myśleć o nowej inwestycji. Nie rwałem się do tego. Kiedyś, chyba gdy byłem dyrektorem domów rekolekcyjnych, myślałem o założeniu przedszkola, ale o szkole nie. Nawet jak pamiętam, otworzyliśmy klubik dla dzieci, takie mini przedszkole, ale o szkole nie było mowy.

Gdy jednak skończyliśmy z kościołem, zacząłem myśleć o publicznym liceum. Publicznym, bo nie chciałem robić szkoły elitarnej dla bogatych, tylko szkołę dostępną dla każdego.

Zastanawiałem się, czy Bóg chce, żebym podjął ten trud, i czekałem na odpowiedź. Kropkę nad „i” postawiono na którymś spotkaniu rady parafialnej. Zapytałem radę, czy tworzyć katolicką szkołę i czy sprzedać działkę parafialną, żeby mieć na początek budowy fundusze. Ku mojemu zaskoczeniu usłyszałem jednoznacznie dwa razy tak.

Ostatecznym potwierdzeniem tego, że Bóg chce, bym podjął to dzieło, była wizyta u arcybiskupa Kazimierza Nycza wiosną 2011 roku. Chciałem usłyszeć od arcybiskupa

odpowiedź na te same dwa pytania, które zadałem członkom rady parafialnej. Usłyszałem po raz drugi dwa razy tak.

Nie miałem się co zastanawiać. Widać Bóg tego chce. Wszystkie ręce na pokład i zaczęliśmy działać. 21 listopada 2011 roku uzyskaliśmy w starostwie wpis do rejestru i szkoła zaczęła istnieć wirtualnie.

Zamówiliśmy w pracowni architektonicznej projekt i po pół roku już z projektem stawiłem się u arcybiskupa Nycza. Był zaskoczony. Pewnie myślał, że powiedział dwa razy tak i dużo wody upłynie, nim pomysł przerodzi się w czyn, a tu po pół roku na stole ma przed sobą projekt szkoły. Od tego dnia prace nabrały przyspieszenia.

Gdy przyszedł czas poświęcenia budynku nowej szkoły, ksiądz arcybiskup Kazimierz Nycz powiedział publicznie tak: „Żeby samochód mógł jechać, musi mieć silnik, koła, kierownicę i hamulec. Ja, ksiądz kardynał i ekonom robiliśmy za hamulcowych tego dzieła”. Wtedy zrozumiałem, dlaczego nas tak drobiazgowo sprawdzano i kontrolowano. To był pierwszy przypadek w archidiecezji warszawskiej, że szkołę budowano od fundamentu, a nie instalowano w pozyskanych budynkach.

Gdy otworzyliśmy Publiczne Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki, byłem przekonany, że do katolickiej szkoły rodzice, by zapisać swoje



...nawróciłem się z religijności na wiarę

dzieci, będą ustawiali się w kolejce, a tu rozczarowanie. Byliśmy przygotowani na dwie klasy, w sumie pięćdziesiąt osób, a we wrześniu 2012 roku przyszło do szkoły siedmioro uczniów. Nauczycieli było trzy razy tylu. Bałem się, czy będziemy w stanie szkołę utrzymać.

Po tym doświadczeniu zdecydowaliśmy się otworzyć publiczne gimnazjum katolickie, by poprzez dotację pomóc liceum. I mimo trudności finansowych, kłopotów z uzyskaniem kredytów, po roku od rozpoczęcia budowy nowego gmachu otworzyliśmy gimnazjum. I to utwierdziło mnie w przekonaniu, że te szkoły są dziełem Bożym. Gdyby Bóg nie pomógł, nie byłoby szkół, bo nie byłoby pieniędzy. Wybudowaliśmy gmach bez pieniędzy i to był prawdziwy cud.

Parafia nie splajtowała, a szkoły są. W tym roku w liceum, w trzech klasach gimnazjum oraz w siódmej i ósmej klasie podstawówki mamy pełną obsadę dwustu sześćdziesięciu uczniów.

W rankingu szkół średnich nasza jest blisko pierwszej setki wśród czterech tysięcy szkół. Jest się czym cieszyć i jest za co dziękować Bogu. ■



Moje gołębie

– Kocham gołębie. Gdy startują w zawodach, siedzę w domu i patrzę na zegar, którego wskazówki tego dnia przesuwają się zawsze za wolno. Wiem, o której wystartowały. Wiem, że jeśli warunki pogodowe będą dobre, polecą do domu z szybkością około stu kilometrów na godzinę. Trasę z Berlina do domu, ponad 527 kilometrów, pokonają w niecałe sześć godzin – mówi pan Jerzy Borkowski z Nowej Iwicznej.



*...odkąd pamiętam,
zawsze u nas były
gołębie pocztowe*

– Odkąd pamiętam, zawsze u nas były gołębie pocztowe. Ojciec nie miał ich tyle, ile ja, ale były. Teraz mam pięćdziesiąt sztuk. Niektóre są u mnie od kilkunastu lat i choć wydaje mi się, że wiele o nich wiem, nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, jak one trafiają do domu. Gdzie jest ten radar, który je prowadzi, i skąd wiedzą, w którą stronę lecieć?

Którędy do domu

– Czasem tak myślę, że może gołębie jak kierowcy mają swoje drogi. Może obserwują świat z góry i jakoś wybierają te właściwe trasy, potrafią je rozpoznać, wiedzą, gdzie skręcić, kiedy zawrócić? Może, ale pewności nie ma. Pewne jest jedno. Gołębie wracają do swoich gniazd – mówi pan Jerzy.

– Dawniej, gdy mieszkaliśmy koło Mińska Mazowieckiego, mój ojciec nie hodował gołębi tak jak ja. Miał pięć, siedem, które sobie latały koło domu. Gdy osiadłem na stałe w Nowej Iwicznej, też miałem gołębie. Latały koło domu, ale Iwiczna była wtedy inna. Co tu było? Dziesięć domów i od torów aż do Wiśniowej kartofle, kukurydza i kapusta. Pola uprawne. Ja sam miałem namioty z pomidorami i papryką. Potem robiłem przez siedem lat w Polkolorze w Piasecznie, a jak tam wszystko zaczęło się walić, to się zwolniłem, bo już pieniędzy na wyplaty nie mieli. Wziąłem się za handel i tak jest do dziś.

Potem, gdy Nowa Iwiczna stała się modna, wszystko poleciało w takim tempie, że po polach, szklarniach i namiotach zostały tylko wspomnienia. Wszędzie budowano domy. Teraz, żeby trzymać gołębie, potrzeba zgody sąsiadów, więc z moim hobby wyniosłem się poza Nową



Iwiczną. Ludzie się boją ptasiej grypy, a nie wiedzą, że takie gołębie muszą być szczepione, przechodzić kontrolę weterynaryjną, że bez aktualnych paszportów nikt ich do zawodów za granicą nie dopuści.

Jestem hodowcą. Od 1980 roku należę do Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych w oddziale 04 w Piasecznie. Jest nas około stu z okolic Piaseczna, Baniochy i Góry Kalwarii.

Każdego roku startujemy w zawodach gołębi pocztowych. Loty zaczynają się w maju. Dawniej było dwa-nastie czy czternaście lotów w sezonie i pod uwagę brano punktację pierwszych pięciu czy siedmiu gołębi ze wszystkich lotów, które odbywają się co tydzień.

Teraz są wprowadzone trzy kategorie: A, B i C – zależne od długości lotów. Do kategorii A zalicza się loty z odległości od 100 do 400 km. Do kategorii B zalicza się loty z odległości od 300 do 600 km. Do kategorii C loty z odległości powyżej 500 km.

Na miejsce startu gołębie trzeba dowieźć. Nie mam specjalistycznego samochodu, więc wynajmujemy samochód, a kabiny dla gołębi każdy ma swoje. To są specjalne klatki, w które wkłada się kilkanaście gołębi, a gdy są to gołębie młode, to nawet dwadzieścia pięć sztuk.

W tym roku pewnie będą jechały na pierwsze loty do Głogowca. Tam, zależnie od pogody, o odpowiedniej godzinie otwiera się klapy i wszystkie gołębie ze wspólnego startu zrywają się do lotu.

Sęk w tym, że nie wszystkie czują w sobie sportową żyłkę, więc tylko około dwudziestu procent bierze udział w konkursie. Lecą na czas do domu. Pozostałe też dolecają, tylko wolniej.

...gołębie pocztowe
to mądre i piękne ptaki



...z moimi gołębiami
widzę się codziennie



Hobby

– Dziś hodowla gołębi pocztowych to hobby ludzi starszych. Młodzi się do tego nie garną, bo wolą weekendy spędzać inaczej, a zawody są przeważnie w soboty i w niedziele. Ja jak powiedziałem mam pięćdziesiąt sztuk gołębi, ale są tacy hodowcy, co mają po dwieście, po trzysta. To jest dopiero robota.

Ile to klatek potrzeba, ile pokarmu? Szczepień, profilaktyki, badań? Po tylu latach hodowania gołębi wystarczy, że spojrzę, i już wiem, co któremu dolega. Lepiej mieć mniej zadbanych i cieszyć się nimi. Ja z moimi gołębiami widzę się codziennie, bo przecież między dziewiątą a dziesiątą rano karmię je, zmieniam wodę i z nimi rozmawiam. Wypuszczam, żeby trochę polatały, przewietrzyły się, rozprostowały skrzydła i zamykam. Gołębie pocztowe więcej siedzą w klatkach niż latają.

Pod koniec lutego lub na początku marca zaczynają się lęgi. Samica składa w misce lęgowej dwa jajka, które wysiaduje na zmianę z samcem przez około 18 dni. Przez pierwsze pięć dni od wyklucia rodzice karmią młode gołębie mleczkiem, tak zwaną papką, a potem już tylko ziarnem przynoszonym w wolu.

Po około 21–28 dniach młode ptaki mogą już opuścić gniazdo, trzeba je przenieść do innego gołębnika i przygotować do lotów. Przyzwyczaić. Od młodziaka wywozi się je daleko od gniazda w różne kierunki, na coraz dalsze loty i puszcza żeby załapały, o co w tym wszystkim chodzi.

Na młode trzeba bardzo uważać, bo ostatnio zapadają na chorobę młodych gołębi, którą nazywają „adeno”.



Jest to choroba wirusowa, która błyskawicznie ptaka wyniszcza. Jakies wirusy zmutowały się podobno z salmonellozą. Dziś ptak jest zdrowy, a jutro siedzi skulony, napuszony i nie można mu pomóc. Jak się weźmie takiego młodziaka do ręki to widać, że mimo prób jedzenia wole ma puste, traci apetyt, dużo pije i jeśli mu się w porę nie pomoże, to w krótkim czasie padnie.

Niektórzy mówią, że jest to choroba wywołana stresem spowodowanym odstawieniem pisklaka od matki, ale czy tak jest rzeczywiście, nie wiem.

Gdy kończą się loty gołębi dorosłych, mamy dwa tygodnie przerwy i zaczynają się loty gołębi młodych. Wtedy wywozi się na te loty młodziaki, a to są takie stworzenia, tak mają poukładane w tych łebkach, że łapią orientację i wiedzą, gdzie lecieć.

Do dziś nie jest zbadane, czym tak naprawdę gołąb pocztowy się kieruje, że potrafi pokonywać setki



Gołębie startują w kilkunastu kategoriach, więc hodowcy, którzy puszcza swoje ptaki w lotach, mogą zdobywać po kilka pucharów i dyplomów. Mogą to być nagrody za rywalizację w lotach gołębi dorosłych i młodych oraz za uczestnictwo we wszystkich lotach, a także w przypadku zawodów w Brukseli na przykład za lot narodowy z Brukseli do Polski.

Kilka dyplomów moje gołębie zdobyły. Mam na przykład dyplom z lotów z Harlingen w Holandii. W lotach gołębi dorosłych w sezonie 2016 roku mój gołąb o numerze PL-04-14-837 na startujących 166 gołębi zajął 23 miejsce. Dystans 1057,034 km pokonał z prędkością 910.91 m/min.

W 2012 roku również mój gołąb z numerem PL-04-12-4128, w locie z Berlina na dystansie 527,390 km, leciał z prędkością 1634.22 m/min i zdobył siódme miejsce.

W ubiegłym roku w lotach gołębi dorosłych z Brukseli mój PL-04-15-3741 przeleciał dystans 1163,225 km i był na jedenastym miejscu. Natomiast w lotach kategorii 3/5, w której liczy się czas przelotu trzech gołębi z piątki zgłoszonej przez hodowcę do konkursu, moje trzy gołębie zajęły trzecie miejsce w okręgu warszawskim. Lepsi byli hodowcy z Garwolina i Pruszkowa. Za to otrzymałem puchar i potwierdzenie.

Są takie specjalne zegary, które automatycznie łapią czas przelotu. Kiedyś były nakręcane ręcznie i pomiar był odczytywany z zegara. Teraz, gdy weszła elektronika, komputery, gołębie startujące w zawodach są wyposażone w odpowiednie chipy, ułatwiające ich identyfikację.

Gdy gołąb wróci z lotu, zegar go wylapie i odbije godzinę powrotu. Już wieczorem w dniu zawodów wszystko jest wiadomo – ile trwał przelot, ile było kilometrów i na którym miejscu jest nasz lotnik.

i tysiące kilometrów i wraca do gniazda. Da pan wiarę, że on, gdy ma sprzyjające warunki pogodowe, czyli – jak to my mówimy – „wiatr w ogon”, to leci z Brukseli do domu 1160 km przez dzień? Jak on musi iść, żeby taką trasę pokonać? Przecież nikt mu jej nie pokazywał.

W zeszłym roku, w dniu startu w Brukseli gołębie przyleciały do gniazd w Garwolinie i Ostrowi Mazowieckiej. A do Garwolina z Brukseli jest 1200 km.

W tym sporcie też walczy się o tytuł mistrza, wicemistrza, o puchary i dyplomy. Moje najlepsze miejsce to czwarte w gołębiach młodych i czwarte w dorosłych. To nie jest proste zdobyć nawet czwarte miejsce, gdy startuje stu hodowców i każdy chce wygrać.

U mnie na przykład lepiej latają samice. Dałem na konkurs cztery samice i cała czwórka przysłała. Wygrałem dwa konkursy.

Nie wszystkie gołębie wracają. Gołębie same sobie wybierają drogę, ale gdy jest upał, lecą półtora metra nad ziemią i widzą błyszczący asfalt, to siadają, bo chce im się pić. Błyszczący asfalt biorą za wodę, siadają i giną zabijane przez samochody.

Jeśli gołąb nie wróci w ciągu dnia do gniazda, to jest głodny i szuka przy drodze pożywienia. Wtedy też często ginie. Poza tym polują na nie drapieżniki.

Czasem gołębie jadą na miejsce startu, a tam psuje się pogoda i start jest odwołany. Gdy pada niewielki deszcz, gołębiom to nie przeszkadza, ale gdy są burze, ulewy starty są odwoływane. Zdarza się i tak, że wracają do domu samochodem albo trzeba jechać i je odebrać.

Moje gołębie, tak jak gołębie innych hodowców, mają na nogach obrączki. Zakłada się je, gdy młodziaki mają po osiem, dziesięć dni. Obrączki są z aluminium lub z masy plastycznej i stanowią taki dowód osobisty gołębia. Są w nim informacje o kraju pochodzenia, numer oddziału Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztych, rok wyklucia i indywidualny numer ptaka. Na przykład PL-04-15-3741. Taki dowód na obrączce miał mój gołąb, który w sezonie lotowym 2018, w locie z Brukseli zdobył jedenastą nagrodę.



Dawniej gołębie pocztowe hodowano tylko dla przyjemności. Teraz to się zrobił hazard. Za gołębie pocztowe płaci się po pięć, dziesięć i więcej tysięcy. Płaci się nie za ptaka, tylko za jego rodowód. W książce rodowej są nazwiska hodowców i nie ma żadnej gwarancji, że z młodego ptaka wyrosnie wspaniały lotnik. Są gołębie, które potomstwu przekazują swoje cechy, i takie, które ich nie przekazują.

Dla mnie gołębie pocztowe to mądre i piękne ptaki. Ich upierzenie może być białe, niebieskie, czarne, czerwone, szpakowate lub pstre. Z pasami lub bez pasów. Mają też piękne oczy o różnej barwie tęczówki. Może być perłowa, pomarańczowa, czarna u białych gołębi, a czasem różowa u albinosów.

Gołębie żyją przeciętnie około dziesięciu, dwunastu lat, ale są i takie, które żyją dłużej. Sam mam kilka, które przeżyły już dziesięć lat.

Gdy gołąb przelata czternaście lotów w sezonie, to przez dwa lata ma na swoim koncie ponad jedenaście tysięcy przelatanych kilometrów. Takie gołębie idą na wystawę.

W dniach 25-27 stycznia 2019 roku po raz trzydziesty szósty odbyło się najważniejsze w skali międzynarodowej wydarzenie dla hodowców – Olimpiada Gołębi Pocztych, której towarzyszyły Targi Gołębi i Akcesoriów. W zeszłym roku olimpiada była w Brukseli i nasze polskie gołębie zajęły sześć pierwszych miejsc.

Byłem na kilku olimpiadach i na tej w Poznaniu też, bo zawsze się człowiek czegoś nowego dowie. A co po olimpiadzie? Będę czekał na rozpoczęcie sezonu lotów. ■



Kupuję obrazki



Pan Krzysztof Jonczak, absolwent wydziału informatyki Politechniki Warszawskiej, jest HR-owcem w dużej firmie. HR-owiec to ktoś, kto w firmie zarządza zasobami ludzkimi. Odpowiada za jakość funkcjonowania przedsiębiorstwa, a także pośredniczy między szefem a pracownikami. I pan Krzysztof tym się zajmuje. Prywatnie lubi motocykle. Mówi, że motocykle, którymi jeździ, a są to amerykańskie harleye i niemieckie BMW, nie są po to, by się na nich ścigać, tylko po to, by dojechać do celu.

*...moje motocykle
są po to, by dojechać
do celu*



– Kiedy człowiek siedzi w pracy po kilka godzin za biurkiem, musi to jakoś sobie zre-kompensować. Ja znalazłem zajęcie. Rozwiązuję techniczne zagadki. Kupuję uszkodzone motocykle dwóch światowych marek: Harley Davidson i BMW R1200C. Przyjeżdżają do mnie zza Wielkiej Wody i ja je naprawiam – mówi pan Krzysztof. – I to mi sprawia ogromną frajdę. A wszystko zaczęło się tak.

Czterdziestolatek

– Kiedy wybudowaliśmy dom, gdy już poprzyklejałem całą glazurę i terakotę, jaka była do przyklejenia, ułożyłem podłogi, zorientowałem się, że nieuchronnie zbliżam się do wieku filmowego czterdziestolatka. Obliczyliśmy z żoną nasze finanse i z pewną ulgą stwierdziłem, że budowa domu nie pochłonęła wszystkiego i mogę sobie na czterdzieste urodziny kupić prezent.

Kupiłem samochód. Taki trochę retro, dwudrzwiowy kabriolet Chrysler PT Cruiser. Do dziś stoi w garażu – opowiada pan Krzysztof. – Nie powiem, żebym się z niego nie cieszył, ale cały czas chodził za mną motocykl. Może dlatego, że gdy byłem w ogólniaku, jeździłem na MZ-250 i te wspomnienia gdzieś tam we mnie się odzywały. Chciałem mieć znowu motocykl.

Wyzaczyłem sobie granicę finansową na poziomie dziesięciu tysięcy i szukałem odpowiedniego motocykla. Nie znalazłem. Żona tańszy znalazła i dała mi w prezencie. Nie dało się wprawdzie na nim jeździć, ale za to był bardzo smaczny. Tort urodzinowy w kształcie motocykla.



Z czasem podniosłem poprzeczkę do piętnastu tysięcy, przymierzałem się do kilku motocykli, ale wszystko nie było tym, czego szukałem. Kolejny raz podniosłem finansową poprzeczkę.

Kiedy myślałem o jakimś japońskim cruiserze, kolega podrzucił mi amerykański motocykl Harley-Davidson V-Rod. Piękna maszyna. Był cały srebrny i doszedłem do wniosku, że na tej maszynie mógłbym jeździć. Przeszkoda była tylko jedna. Zaporowa cena. Trzydzieści pięć tysięcy przekraczało założony przeze mnie budżet, więc radość z samej myśli posiadania tego cacka przeszła jak sen.

Któregoś dnia trafiłem przez przypadek na motocykl BMW 1200C, tak zwany bond w wersji cruiser. Na takim motocyklu jeździł w filmie Jutro nie umiera nigdy agent 007, James Bond. Bardzo mi się podobał. Z pewnością bym go kupił, ale cena przekraczała moje możliwości, kosztował bowiem dwadzieścia cztery tysiące. Pomyślałem, że poczekam, aż będzie tańszy.

Do mojego budżetu dorzuciłem trzy tysiące i gotów byłem kupić bonda za osiemnaście tysięcy. Nie wziąłem niestety pod uwagę, że jak cena będzie niższa, to kupić będzie trudniej, bo chętnych na ten model było wielu.

W ten sposób straciłem tę i kolejną okazję. Udało mi się za trzecim razem.

Nauczony, że jak się pojawia motocykl z ceną poniżej dwudziestu tysięcy, to natychmiast znika, gdy dowiedziałem się, że jest do kupienia BMW 1200C, wsiałem w samochód, doczepiłem lawetę, wziąłem w kieszeń pieniądze i pojechałem do Białegostoku.

Udało się. Radocha była duża. Sześć lat temu stałem się właścicielem pięknego BMW 1200C.

Gdy radość minęła, dostrzegłem, że motocykl nie miał fabrycznego lakieru, tylko był przez poprzedniego użytkownika malowany. Trochę to mnie, niedoświadczonego właściciela BMW, przeraziło. Musiał być, jak mówią fachowcy, niezłe bity, skoro go przemalowano. I to mi tak doskwierało, że postanowiłem go natychmiast sprzedać.

Wróciłem do myśli o kupieniu Harleya V-Roda. Cena z trzydziestu pięciu tysięcy spadła poniżej trzydziestu i kupiłem. Stałem się właścicielem dwóch maszyn. Przemalowanego BMW 1200C i srebrnego harleya z roku 2003.

Trochę z harleyem miałem kłopotów, bo coś nie grało w zapłonie, a ponieważ nie miałem z tymi maszynami do czynienia, nie bardzo rozumiałem, co się dzieje. Dopiero się tych maszyn uczyłem, bo przecież były naładowane elektroniką, więc trochę trwało, nim się przez to wszystko przegryzłem. Ale dałem radę.

Wtedy do akcji wkroczyła żona i powiedziała: „Nie przesadzaj. Przecież na dwóch motocyklach nie będziesz jeździł. Może jeden trzeba sprzedać”. Przyznałem jej rację i sprzedałem BMW. I tak się zaczęło.

Wchodzę w biznes

– Sprzedając przemalowane BMW 1200C, zarobiłem dwa tysiące. Miałem harleya i gotówkę za sprzedane BMW.

Szczerze powiem, że nie byłem przekonany do mojego harleya, bo ten motocykl nie miał ABS i gwałtownego hamowania nie wybaczał. BMW było wyposażone w ABS i to mi odpowiadało.

fot. z archiwum prywatnego K. Jonczaka



Może dlatego, gdy dowiedziałem się, że jest do sprzedania kolejny bond za cenę poniżej dwudziestu tysięcy, kupiłem go. Naprawiłem, co trzeba, wprowadziłem trochę zmian kosmetycznych i... nie zostawiłem sobie, tylko znowu sprzedałem z zyskiem.

Gdy rozmawiałem z właścicielem maszyny, dowiedziałem się, że motocykl został sprowadzony ze Stanów za cenę, która wykluczała zysk przy sprzedaży. Zacząłem się zastanawiać, gdzie kryje się tajemnica. Człowiek sprowadza motocykl ze Stanów, sprzedaje i nie zarabia. Długo nie dawało mi to spokoju, wreszcie zdołałem tę zagadkę rozwiązać.

Kupując motocykl w Stanach, kupuje się internetowy obrazek, za który trzeba zapłacić całą sumę, pokryć koszty przesyłki i tym podobne. Kupuje się takie jajko z niespodzianką. Dopiero po kilku miesiącach, kiedy przesyłka przyjdzie i zostanie odpakowana, człowiek wie, jaką niespodziankę kryje to jajko.

Ponieważ nie ma pośrednika, z którym można nawiązać bezpośredni kontakt, znalazłem firmę, której właściciel ułatwił Polakom zakupy w Stanach. Nawiązałem z nim kontakt, kupiłem kolejny motocykl BMW, a w 2016 roku kupiłem wszystkie bondy, jakie tam były na licytacjach. W sumie osiem sztuk.

Wiele się o tych motocyklach nauczyłem. Przede wszystkim nauczyłem się je naprawiać, bo na ogół naprawy nie dotyczyły silnika, gdyż wszystkie maszyny były na chodzie. Miały jakieś powypadkowe uszkodzenia, ale to się dało naprawić, wymieniając części. Sześć motorów sprzedałem. Zostały mi jeszcze dwa.

BMW 1200C ma tę zaletę, że nie ma ramy. W związku z tym przy uderzeniu z przodu, czy z tyłu wymianie podlega to, co zostało uszkodzone. Motocykl jest nadal prosty, bo jego ramą jest silnik. Dlatego zdecydowałem się na kupowanie obrazków. Gdybym na podstawie zdjęcia kupował motocykl zbudowany na ramie, to nie wykluczam, że to jajko z niespodzianką byłoby motocyklem z krzywą ramą, czyli złomem. A tak mam pewność, że uszkodzenia, jakie są, można naprawić, bo układ jezdy jest w porządku.

Mając taką wiedzę, trochę doświadczenia i zamiłowanie do majsterkowania, wpadłem na pomysł, że to będzie moje dodatkowe zajęcie. Będę sprowadzał, naprawiał i sprzedawał bondy, czyli motocykle BMW 1200C. I to robię.

...poznawanie
nowych rzeczy sprawia
mi radość

Warto się uczyć

– Wychowywałem się na przedmieściach Mławy. Było tam trochę tak jak tu. Ostatnia ulica, dalej pola. Gdy miałem osiem lat, dostałem motorower. Był to produkowany przez Zakłady Rowerowe Romet w Bydgoszczy następca popularnego komara, motorower kadet. Jeździłem na nim długo. Gdy miałem dwanaście lat, rozebrałem i złożyłem cały silnik mojego kadeta i dalej nim jeździłem.

Mój ojciec był mechanikiem, więc zawsze mógł mi coś podpowiedzieć, doradzić, czegoś nauczyć. Klucze, nakrętki, śrubki zawsze były w domu pod ręką. Ojciec sam zbudował sobie traktorek do prac polowych i jak pamiętam, zawsze coś majstrował. Nie przychodził do domu i siadał przed telewizorem, tylko zawsze coś robił. Tego się od niego nauczyłem.

Zauważyłem, że poznawanie nowych rzeczy sprawia mi radość. I tak jest w przypadku tych motocykli. Cały czas się uczę.

Gdy w naszej gminie budowaliśmy z żoną dom, uczyłem się stawiać mury, układać glazurę i terakotę. Teraz uczę się naprawiania motocykli.

Muszę się przyznać, że gdy kupiłem pierwszy motocykl, to się trochę przestraszyłem i dlatego go sprzedałem. Przestraszyłem się, bo był przemalowany, a ja nie wiedziałem dlaczego. Jeśli uległ wypadkowi, to choć był na chodzie, mógł pod lakierem ukrywać jakąś zagadkę. Dziś, gdy tyle o tych motocyklach wiem, gdy kilkanaście ich naprawiłem, mógłbym powiedzieć, że był to pełnowartościowy egzemplarz, ale ta wiedza przyszła z czasem.

Oczywiście, znacznie byłoby mi łatwiej, pewnie bym szybciej się wszystkiego uczył, gdyby do tych moich bondów dodawano instrukcję. A ja poznaję te maszyny, rozbierając je i składając bez instrukcji. Gdy odkręcam wszystkie śrubki, rozbieram mechanizmy,

a potem składam i żadna śrubka nie zostaje, to znaczy, że temat jest opanowany.

Jasne, że trzeba było trochę poczytać, posprawdzać, kupić sobie komputer z odpowiednim modułem, który potrafi zdiagnozować usterkę, i teraz wszystko jest łatwiejsze.

Ponieważ większość motocykli BMW 1200C typu cruiser była przeznaczona na rynek amerykański, tam też jest największe źródło części zamiennych. Tam jest cały przemysł rozbierania motocykli i sprzedawania części, więc je stamtąd sprowadzam.

Mister od bondów

– Pamiętam, że gdy pierwszy raz zobaczyłem ten motocykl, stwierdziłem, że jest bardzo brzydki. Gdy zobaczyłem go po raz drugi, uznałem, że jest to najpiękniejszy motocykl na świecie. Był też wyjątkowy, bo BMW nie produkowało cruiserów. Bond był pierwszym cruiserem i dlatego te motocykle trzymają cenę, a nawet z upływem lat ona rośnie. Nie ma więc ryzyka, że trzeba szybko sprzedać motocykl, bo cena spadnie.

Muszę się przyznać, że jazda moim bondem, który jest w takim samym beżowym kolorze jak ten z filmu, na którym jeździł agent 007, sprawia mi sporą radość. Okazuje się, że ten motocykl jest rozpoznawalny i kiedy nim się zatrzymuję, to wielu ludzi podchodzi i robi zdjęcia.

BMW 1200C jest motocyklem dla ludzi dojrzałych. Takich, którzy już zaliczyli motocykle japońskie i teraz szukają czegoś, co będzie ich wyróżniało. Oczywiście fani japończyków będą twierdzili, że są to najlepsze motocykle i technicznie może tak, ale one w przeciwieństwie do bonda nie trzymają ceny. Podobnie jest z harleyami. Cena nie spada poniżej pewnego poziomu.

W ubiegłym roku kupiłem eksperymentalnie kilka harleyów, ale w domu ich nie trzymam, bo mam za mały garaż. Dwa road kingi już sprzedałem. Mam jeszcze trzy electry i kilka sporsterów. Wszystkich motocykli mam dwadzieścia sztuk, więc się nie nudzę. Mogę prawie każdego dnia jeździć na innym. – Tu pan Krzysztof wybuchł śmiechem i dodaje. – Zartuję oczywiście, bo na chodzie jest sześć. Reszta czeka w kolejce, aż je naprawię.

Zazwyczaj jeżdżę motocyklem do pracy i tylko wtedy, gdy mam po drodze odwieźć do szkoły jednego syna. Bo jak dwóch, to motocykl odpada i jadę samochodem. Uważam ponadto, że jazda motocyklem to ma być



fot. z archiwum prywatnego K. Jonczaka



przyjemność, a nie kara, więc gdy pada deszcz, to nie jeżdżę, jak zimno – też nie.

Muszę powiedzieć, że mnie nie bawi samo jeżdżenie motocyklem. To jest pochodną tego, że je mam. Mnie bawi i fascynuje ich naprawianie. Bo przyjeżdża motocykl, który widziałem na obrazku, oglądam go, rozkręcam, sprawdzam, co jest do naprawy i zaczynam poszukiwanie części. Taka zabawa przy jednym egzemplarzu do chwili, gdy mogę wsiąść i jechać, trwa z reguły kilka miesięcy. Tak mnie to wciągnęło, że założyłem działalność gospodarczą. Żona nawet wymyśliła nazwę dla firmy: Mr Krzysztof Jonczak, co Amerykanie tłumaczą jako mister Krzysztof, człowiek od bondów.

Ostatnio kolega, też pasjonat motocykli, opowiadał mi, że poznał właściciela Bonda, który mu się pochwalił, że kupił go od człowieka, który pod Warszawą ma same bondy, i okazało się, że mówił o mnie. Jestem więc rozpoznawalny.

Gdy zastanawiałem się, skąd mi przyszedł do głowy pomysł naprawiania motocykli, znalazłem w swoim życiorysie prostą



*...mnie bawi
i fascynuje naprawianie
motocykli*



odповідź. Jako chłopak pasjonowałem się sklejeniem kartonowych modeli. Przez kilka ładnych lat byłem aktywnym modelarzem.

Mam nawet zbierany od 1970 roku pełen komplet egzemplarzy „Małego Modelarza”, czasopisma modelarskiego ukazującego się od 1957 roku, które zawierało kartonowe modele do sklejenia. Samochody, samoloty, czołgi, okręty wojenne i żaglowce. Sklejałem modele, a później już tylko kupowałem kolejne numery i odkładałem na później. Mam tego całą stertę. Leżą i czekają.

Gdy przejdzie mi ochota do naprawiania bondów, może jeszcze do nich wrócę i przypomnę sobie młode lata. ■

Kolekcjoner

...każdy eksponat krył jakąś tajemnicę, a ja tę tajemnicę odkrywałem

Krzysztof Brzostowski jest uczniem trzeciej klasy gimnazjum w Nowej Iwicznej. Do wybitnych uczniów nie należy, ale – jak podkreśla – żadnej klasy nie powtarzał. Nie ukrywa, że i teraz ma trudności. Nie idzie mu z matematyką i biologią, ale mówi, że da radę, bo bywało jeszcze gorzej.

– Z pierwszej do drugiej klasy gimnazjum miałem dwa egzaminy warunkowe z matematyki i z chemii, ale jakoś poszło, to i teraz muszę dać radę. Pani od matematyki powiedziała, że mi pomoże. Podzieli cały materiał, który mam znać, na trzy części, żebym mógł łatwiej go opamiętać. Biologii muszę się po prostu sam nauczyć – opowiada Krzysztof.

Zatrzymany czas

W ogrodzie przy ulicy Granicznej w Nowej Iwicznej dawno zatrzymał się czas. Stary dom, jakieś resztki szklarni, w której dziadkowie Krzysztofa gdzieś na początku lat siedemdziesiątych uprawiali kwiaty albo warzywa. Przed domem fiat 126p po renowacji, w którym coś trzeba naprawić, żeby znowu był na chodzie.

W starym domu jeszcze z czasów Polski Ludowej mały pokójek z regałem na wysoki połysk ze słynnego Wyszkowa. Fotele, ława, sprzęty z tamtych, minionych czasów. W gablocie regału za szkłem literatki i kilka kryształów, bo jak lokator tego pomieszczenia mówi, chodziło mu o to, by był tu klimat PRL-u. Czasów, o których Krzysztofowi opowiadali dziadek z babcią, bo na tamte czasy przypadła ich młodość i w tamtych czasach kupili ten dom.

O młodym człowieku, który jest gospodarzem tego pokoju, wnuczku Ireny i Franciszka Tyszkiewiczów, piszemy dlatego, że zacie-

kawiło nas jego hobby i jego wiedza z realizacją tego hobby związana.

Wszystko gra

– Zaczęło się pięć lat temu, gdy dostałem od babci mały przenośny radiodbiornik o nazwie Alicja. Przeczytałem w internecie, że Alicja była produkowana w bydgoskich zakładach elektronicznych Eltra w połowie lat osiemdziesiątych, że była odbiornikiem turystycznym zasilanym bateriami i odbierała fale UKF, długie, średnie i krótkie.

Bardzo intrygowało mnie, co ma w środku – opowiada Krzysztof. – Tak już mam, że muszę wszystko rozebrać, zajrzeć do środka, żeby zaspokoić swoją ciekawość.

Gdy go rozebrałem, zobaczyłem, że w środku wszystko jest inaczey niż w radiodbiornikach współczesnych. To rozbudziło moją ciekawość.

Potem rodzice opowiadali mi, że kiedyś mieli w domu gramofon. Nie wiedziałem, ani co to jest gramofon, ani do czego to służy, dopóki go nie dostałem. Rodzice mówili, że na tym gramofonie odtwarzało się winylowe płyty i tak mnie to zainteresowało, że znalazł się w mojej kolekcji. O, jest tam, ta czerwona walizeczka pod magnetofonem.

To Party Hit z 1971 roku. Polski gramofon produkowany w zakładach Unitra Fonica w Łodzi. Jest poważnie uszkodzony. Ma usterkę napędu i złamane ramię podtrzymujące główkę z igłą.

Jeśli radio dostałem od babci, a gramofon od rodziców, to pojechałem do mojego śp. dziadka, bo się dowiedziałem, że u dziadka też był jakiś gramofon. I rzeczywiście. Dziadek miał w pełni sprawny gramofon Bambino 4, wyprodukowany też w Łódzkich Zakładach Radiowych. Dał mi go w prezencie. Można podnieść pokrywę i zobaczyć, że jest sprawny.

Gdy dziadek mi go wręczył, to przyjechałem do domu i zacząłem go czyścić. Bardzo się zdziwiłem, gdy spod kurzu zaczął się wylać niebieski kolor obudowy, bo biorąc go od dziadka, byłem przekonany, że jest czarny, tak był ubrudzony. Jeszcze muszę popracować nad mocowaniem igły, bo czasem wyskakuje z torów, a to jest zabójstwo dla płyty, którą igła rysuje.

W ten sposób powiększyłem moją kolekcję i połączyłem bakcyła. Postanowiłem zbierać i kolekcjonować sprzęt radiowy z okresu PRL. I tak się zaczęło zbieranie i zdobywanie eksponatów do mojej kolekcji.

Kolejną zdobyczą był japoński magnetofon kasetowy Hitachi. Od dziesięciu lat leżał gdzieś u mojej babci, co dobrze o babci świadczy, bo miała jak na tamte czasy niezły sprzęt. Trochę przy nim pogrzebałem, odnowiłem i działa.

Tam na szafce stoi radiomagnetofon Sharp. Kiedyś można było szpanować, że ma się taki sprzęt i chodzić z taką grającą szafką na ramieniu po mieście lub po plaży.



Fascynacja

– Im więcej miałem sprzętów, im bardziej je poznawałem i dłużej przy nich grzebałem, tym bardziej byłem przekonany, że każdy z nich coś w sobie ma. Nie potrafiłem powiedzieć, co to takiego, ale każdy mnie fascynował. Każdy eksponat krył jakąś tajemnicę, a ja tę tajemnicę odkrywałem.

Już nie tylko szukałem eksponatów do moich zbiorów, ale zaczynałem je za uzbierane niewielkie pieniądze kupować. Pierwszym zakupem, jakiego dokonałem przez internet, był radioodbiornik Amator 2B i magnetofon ZK 140T.

Amator był sprawny, natomiast magnetofon nie był niestety tym, czego oczekiwałem. Okazało się, że była to wersja lampowa ZK 140, a nie ta na tranzystorach, którą zamówiłem. W dodatku był całkowicie niesprawny. W ogóle nie reagował na prąd.

Wymieniłem przewód zasilający, prąd zaczął dochodzić, ale silnik nadal stał. Trzeba było wszystko rozebrać i silnik wyczyścić. To była moja pierwsza poważna naprawa.

Okropnie się namordowałem przy wyjmowaniu silnika, ale wszystko skończyło się pomyślnie i magnetofon do dziś gra. Jest to magnetofon wyprodukowany w 1970 roku, monofoniczny, zbudowany na dwóch lampach elektronowych, ma cztery ścieżki i jedną prędkość odtwarzania. Bardzo prosty i bardzo dobry.

Mam tu jeszcze inny magnetofon. Dostałem go na mikołajki. Jest to norweski magnetofon szpulowy



...tak już mam, że muszę wszystko rozebrać, zajrzeć do środka

Tandberg. Przeczytałem na jakimś portalu, że jest to prawdopodobnie najlepszy magnetofon szpulowy, jaki wymyślono. Ten mój został wyprodukowany w 1968 roku. Jest to magnetofon monotoniczny z trzema prędkościami odtwarzania, zbudowany na tranzystorach z wbudowanym wzmacniaczem i dziesięciowatowym głośnikiem.

W tym samym roku w Polsce w Zakładach Radiowych im. Marcina Kasprzaka w Warszawie zaczęto na licencji niemieckiej firmy Grundig produkować magnetofon ZK-120 – dwuścieżkowy, monofoniczny, lampowy magnetofon szpulowy.

Gdy patrzę i porównuję te dwa magnetofony, to dopiero widzę nasze zacofanie technologiczne w tamtych latach. Ale nie mieliśmy wtedy twardej waluty, tylko nieliczni mieli bony towarowe i generalnie ustrój komunistyczny nie pozwalał na rozwój.

Poszukiwania

– Skąd czerpię wiedzę o sprzęcie? Niestety nie z instrukcji, bo ich przy tych starociach nie ma. Zdarza mi się zdobyć czasem jakąś instrukcję serwisową, ale to rzadkość. Szukam wiedzy w książkach, rozmawiam z ludźmi z branży, oglądam stare kroniki, rozmawiam ze starszymi ludźmi, którzy ten sprzęt pamiętają i chętnie opowiadają, jak to kiedyś było. Słowem, szukam, gdzie się da, i czerpię wiedzę ze wszystkich dostępnych źródeł.

Kolekcjonuję też, jak widać, radia. O, tu mam na przykład radiogramofon Menuet z magicznym okiem. Niestety jest niesprawny, bo nie mogę dostać jednej lampy. Gdy go znalazłem, miało w skrzynce tylko jedną lampę, a powinno mieć pięć. Muszę też odnowić jego skrzynkę i poszukać tylnej ścianki, bo gdzieś przepadła. Konstrukcja tego radia jest banalnie prosta.



Sprzęt dostaję, kupuję, szukam na wysypiskach, złomowiskach albo jak w gminie jest zbiórka elektrośmieci i ludzie przed domy wystawiają niepotrzebne sprzęty elektroniczne, to ja jestem przy tych śmieciach już skoro świt. Ludzie nieraz wyrzucają wspaniałe sprzęty.

O, ten czarno-biały telewizor Ametyst 1012, produkowany przez Warszawskie Zakłady Telewizyjne, z dwunastoma kanałami przełączanymi skokowo jest z takiej zbiórki.

Ludzie nieraz wyrzucają skarby. Dla nich to stare graty zawałające strychy i komórki, dla mnie skarby. Gdy dwa lata temu przyniosłem tego Ametysta, a jeszcze tak się na elektronicznie nie znalazłem, to chciałem go z miejsca uruchomić. Obejrzałem go i doszedłem do wniosku, że ma przepalony bezpiecznik. Wymieniłem i ruszył. Pracował jakiś czas i strzeliła lampa powielacza, i teraz muszę wymienić lampy prostownicze, bo to jest telewizor lampowy. Ma w sobie piętnaście lamp elektronowych, a lampy telewizyjne są bardzo drogie.

Ostatnio kupiłem Ametysta 102 z 1969 roku, bo doszedłem do wniosku, że muszę mieć telewizor z lat sześćdziesiątych. Przyszedł prawie cały w puzzlach 3D, że tak powiem, ale za to kompletny, więc będzie dawca części do Ametysta 1012. Napisałem jednak do właściciela



Ametysta i załączyłem zdjęcie tego, co dostałem. Ku mojemu zaskoczeniu pan natychmiast do mnie zadzwonił, przeprosił i zaproponował zwrot pieniędzy albo rekompensatę w postaci innego telewizora. Wybrałem to drugie i przysłał mi japoński telewizor Sanyo z przełomu lat 1970-1980. Są jeszcze uczciwi ludzie.

Gdy zobaczę ogłoszenie i widzę coś fajnego, to patrzę, ile to kosztuje, i jak mam pieniądze, to kupuję. Tak było właśnie z Ametystem 102. Patrzę: jest. Cena – siedemdziesiąt złotych. Tyle akurat miałem, więc natychmiast go zamówiłem.

Brakuje mi jeszcze Wisły i Belwedera, ale ponieważ to jedno z pierwszych polskich telewizorów, są poszukiwane i drogie, więc na razie nie na moją kieszeń.



moja Lesznowola



Chodzi mi po głowie pomysł, żeby w przyszłości zrobić takie mini muzeum, ale to pieśń przyszłości, bo na to potrzebna jest kasa.

Mam sprzęt grający, którego używam na co dzień, słuchając muzyki. Dziś na przykład słuchałem płyty zespołu Pink Floyd. Mam też patefon, który chciałbym zostawić dzieciom i wnukom. To stary patefon walizkowy Thorensa z 1918 roku. Dostałem go od dziadka. Podobno to jest trzeci wyprodukowany egzemplarz.

Niestety pół roku temu strzeliła w nim sprężyna naciągu i muszę taką znaleźć. Na pewno będzie grał.

U mnie tu wszystko żyje albo będzie ożywione. To tylko kwestia czasu, cierpliwości i pieniędzy. Na razie muszę się skupić na biologii i matematyce, więc Thorens musi poczekać. ■

...chodzi mi po głowie pomysł, żeby zrobić takie mini muzeum





SZCZYPIORNIAK LESZNOWOLA



fot. Anna Niezabitowska

Zacniemy ten tekst przewrotnie od wydarzenia, które miało miejsce w 2016 roku. W finale Ligi Mistrzów Piłkarzy Ręcznych Vive Tauron Kielce pokonał węgierski MKB Veszprem. Po sześćdziesięciu minutach było 29:29, a po dogrywce 35:35. Wszystko rozstrzygnęło się w rzutach karnych. Mistrzowie Polski wygrali 4:3 i po raz pierwszy w historii sięgnęli po triumf w Champions League. Drużyna z Kielc została najlepszą drużyną w Europie. Co to ma wspólnego z naszą gminą? Pozornie nic. Ale...



Nie każdy z naszych Czytelników wie, że w ubiegłym roku kilka osób pozytywnie zakręconych na punkcie piłki ręcznej, czyli popularnego szczypiorniaka, zorganizowało w halach sportowych naszej gminy turniej Piłka Ręczna Uzależnia, w którym wzięło udział blisko ośmiuset zawodników.

Wśród szesnastu drużyn startujących w kategorii wiekowej młodzicy, zawodnicy klubu UKS Szczypiorniak Lesznowola, czyli chłopcy z rocznika 2004 i młodsi, zajęli piąte miejsce. Chłopcom dopingował sam Karol Bielecki, brązowy medalista mistrzostw świata 2009 roku i brązowy medalista mistrzostw świata 2015 roku w Katarze, chorąży reprezentacji Polski i król strzelców podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 roku.

Jak dawno powstał klub? Trzy lata temu!

Klub spełniania marzeń

– Przez jakieś pięć lat prowadziłem w Nowej Iwicznej grupę skautów. Po zdobyciu przez Vive Tauron Kielce pierwszego miejsca w Lidze Mistrzów powiedziałem, że zakładam w naszej gminie klub piłki ręcznej i szukam chętnych – mówi Michał Zieliński, trener klubu Szczypiorniak Lesznowola. – Dzieciaków przyciągało wtedy nazwisko Karola Bieleckiego, wiedzieli, kto to jest Sławek Szmal, Bogdan Wenta czy bracia Bartosz i Michał Jureccy.

Wiedzieli, bo ci zawodnicy i polska reprezentacja piłki ręcznej odnosiła sukcesy.



Pomyślałem sobie: „Fajnie, że odnosiliśmy sukcesy, ale musi być jakaś ciągłość”. Patrzyłem na dzieciaki, które uczyłem w szkole, i doszedłem do wniosku, że dla nich nie ma oferty gry w piłkę ręczną. Sam jako licealista trenowałem w klasie sportowej, zdarzyło mi się nawet być na parkiecie z niektórymi naszymi reprezentantami. To było w II Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Konopnickiej w Radomiu.

Teraz, po iluś latach różnych przygód zawodowych, jestem nauczycielem religii w szkole w Lesznowoli i postanowiłem ze względu na córki założyć klub, gdzie razem z innymi dziećmi mogłyby trenować. I tak się zaczęło.

Na mój apel przyszło kilku skautów, przyszły nasze córki. Na pierwszym treningu było dziewięć osób. Jeden ze skautów wziął na siebie rolę



...chłopcom dopingował sam Karol Bielecki, król strzelców podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro

menedżera drużyny i zaczął przy- prowadzać kolegów z klasy, ze szko- ły. W pewnym momencie z jednej klasy szkoły w Lesznowoli na trenin- gi przychodziło dziesięciu uczniów.

Pomyślałem wtedy, że jak będzie- my grali w szkolnych mistrzostwach gminy, to skład będzie z jednej klasy. Później, gdy zaczęliśmy działać, zaczęli przychodzić inni.

Tak powstał klub UKS Szczy- piorniak Lesznowola. Klub, w któ- rym chciałem spełniać marzenia. Nie mówię o marzeniach swoich, tylko o dzieciaków.

Oglądałem kiedyś film, na któ- rym wypowiadali się różni znani piłkarze i piłkarki ręczne. Mówili, że dzięki piłce ręcznej zwiedzili ka- wał świata, mają wielu znajomych, zawiązali przyjaźnie. „Dlaczego na- sze dzieci nie mają mieć tego wszy- stkiego?” – pytałem samego sie- bie i robiłem wszystko, żeby im to zapewnić.

Już podróżowaliśmy po Polsce. Byliśmy na turnieju na Węgrzech. Byliśmy na mistrzostwach piłki ręcznej plażowej i zależy nam też, żeby nasi chłopcy mieli możliwość spotkania się z ciekawymi ludźmi. U nas trenują dzieciaki z Lesznowo- li, jeden chłopak z Piaseczna, jeden z Warszawy i z Pruszkowa. W tej chwili jest jeden rocznik wiodący – młodzik. W przyszłym roku będą juniorami młodszymi. Są dzieci urodzone w 2006 roku i młodsze. Głównie chłopcy. Kiedyś były gru- py mieszane, grały też nasze córki, ale teraz zaczęły chodzić na trenin- gi bramkarskie. Mamy oddzielny trening piłki ręcznej dla bramkarzy.

Marzeniem było, żeby może kie- dyś nasz klub odwiedził jakiś znany piłkarz ręczny. No i odwiedził nas Karol Bielecki. Gdy zobaczył Cen- trum Sportu, zobaczył jak to u nas jest, jaka jest organizacja, jaka baza sportowa w gminie, ile mamy hal i jakie warunki do uprawiania piłki ręcznej, to zapytał, czy chcielibyśmy współpracować z Champions Hand- ball Academy, którą założył razem ze Sławkiem Szmałem i Grzegorzem

Tkaczykiem, który w latach 2004– 2008 był kapitanem naszej drużyny narodowej i grał na igrzyskach olimpijskich w Pekinie.

Ich akademia otwiera oddziały w różnych częściach Polski, więc czemu nie mieliby otworzyć takiego oddziału u nas, w Lesznowoli?

Pani wójt jest za

– Pomyślałem, że taka okazja może się więcej nie powtórzyć, więc trzeba działać. I tak od słowa do słowa już byliśmy na spotkaniu u pani wójt, która do tej propozycji podeszła z wielkim entuzjazmem. Chodzi o to, żeby w piłkę ręczną zaczęły grać dzieci jak najmłodsze, już z pierwszej klasy podstawówki. Ważny jest ich rozwój ogólny, ale też rozwój specjalny pod kątem piłki ręcznej, żeby nie było tak, że dzieci dopiero w piątej czy szóstej klasie zaczynają trenować, tylko żeby były przygotowywane do tej dyscypliny wcześniej.

Po rozmowie z panią wójt Marią Jolantą Batycką-Wąsik, w której bra- li udział i Karol Bielecki, i Grzegorz Tkaczyk, jestem pełen optymizmu. Wierzę, że Szczypiorniak Lesznowola będzie częścią Champions Handball Academy. Chłopaki z reprezentacji obiecali, że gdy wszystko będzie na dobrej drodze, przyjadą do nas spotkać się z dziećmi i porozmawiać z rodzicami. Pani wójt obiecała nam wsparcie w udostępnieniu hali. Teraz

musimy pomyśleć, jak to zrobić, żeby dotrzeć do zainteresowanych – rodziców i dzieci.

Mamy stronę internetową: szczypiorniak.com.pl i swoją stronę: pilkarecznauzaleznia.pl. Opisujemy na tych stronach różne wydarzenia związane z naszymi treningami, rozgrywanymi spotkaniami, wy- jazdami i planami. Czasami rodzice widzą ogłoszenie i przyprowadzają swoje dzieci na treningi. A gdy raz przyjdą, mówią o wspaniałej at- mosferze, jaka panuje na treningach i zawodach. Atmosferze, którą tworzą zawodnicy, rodzice i trenerzy. Tu dla przykładu muszę koniecznie wspomnieć babcię kibickę, panią Bożenę Lubedkin, która nie opusz- cza żadnego meczu, bo w Szczypior- niaku Lesznowola gra jej wnuczek.

W piłce ręcznej fajne jest to, że trenerzy i kluby wymieniają się doświadczeniami. W każdym takim jak u nas turnieju startuje kilkana- ście drużyn i jest kilku trenerów. Podczas meczu jest rywalizacja, ale po zawodach wymiana doświadczeń i wsparcie. Mamy zaprzyjaźniony klub, który w rankingu Polskiego Związku Piłki Ręcznej jest na pierw- szym miejscu, jeśli chodzi o szko- lenie młodzieży. Ten klub to UKS Anilana Łódź. Na tyle się z nimi zaprzyjaźniliśmy, że oni zapraszają nas do siebie, a my ich do nas. Teraz mamy plan, żeby wspólnie pojechać na obóz.



I to jest piękne, że my zaprosimy kogoś, potem ktoś nas zaprosi i tak to się później rozwija w dobrym kie- runku. Fajnie by było, gdyby u nas w gminie klub Szczypiorniak Lesz- nowola był tak znany i doceniany, jak jest w całej Polsce. Gdy pojecha- liśmy na turniej za granicę, spotka- liśmy się z drużyną z Polski, z którą wcześniej nie mieliśmy okazji się widzieć i oni do nas mówią: „Ach, to wy jesteście ten Szczypiorniak Lesz- nowola, to o was mówią, że jesteście wszędzie, że organizujecie świetny turniej Piłki Ręcznej Uzależnia. I to też jest miłe, że od osób, o których my wcześniej nie słyszeliśmy, sły- szymy takie opinie.

Krótką historią turnieju

– Od dwudziestu lat, czyli ponad połowę mojego życia, jestem mieszkańcem gminy Lesznowola. W Nowej Iwicznej od dziecka miesz- kała moja żona Aneta i urodziła się trójka naszych dzieci: dwie córki i syn. W żonie miałem przewodnika po gminie, więc było mi łatwiej się zaaklimatyzować. Poznaliśmy się na studiach, na Uniwersytecie Kardyna- na Stefana Wyszyńskiego, gdzie oboje studiowaliśmy dziennikarstwo na wydziale teologicznym.

Z zawodu, jak już wspominałem, jestem nauczycielem. Nigdy nie



...do turnieju Piłka Ręczna Uzależnia zgłosiło się prawie ośmiuset zawodników

myślałbym, że będę uczył religii, bo nie po to poszedłem na studia. Pracowałem i w wielkiej korporacji, i jako dyrektor w mniejszej firmie, natomiast po iluś latach od skończe- nia studiów wykonałem zawodowy zwrot. Zrobiłem kurs trenerski.

Teraz uczę, studiuję i jestem w trakcie pisania pracy w Wyższej Szkole Kultury Fizycznej i Turystyki w Pruszkowie. Jeśli się uda, będę pracował jako nauczyciel WF-u. Piszę pracę o sprawności fizycznej w wąskiej grupie młodzieży. Ta młodzież trenuje w Szczypiorniaku Lesznowola.

Przed ubiegłorocznym turniejem pod hasłem „Piłka Ręczna Uzależnia”,

który był naszym organizacyjnym i sportowym sukcesem, przeciwczy- liśmy w 2017 roku w hali Centrum Sportu w Mysiadle organizację turnieju na mniejszą skalę.

Motywacja była bardzo prosta. Mieliliśmy chłopaków, którzy grali, wcześniej trenowali przez rok, przy- gotowywali się do rozgrywek ligo- wych, natomiast nie mieli żadnego ogrania. Nasz pierwszy sparing od- był się po dziewięciu miesiącach od pierwszego treningu. Przegraliśmy z sąsiadami z Piaseczna 3:27. Nie był to jednak wynik najgorszy, bo gdy rozmawiałem z kolegami z Polski, to mówili, że pierwsze mecze przegry- wali 50:1 albo 30:0. Uspokajali mnie,



że to normalne i że musimy przez to przejść.

Przeszliśmy i teraz w lidze nawet Piaseczno musiało się z nami ostro siłować, żeby wygrać. Jeden mecz zremisowaliśmy. Potem zaprosiliśmy do Lesznowoli kilka drużyn i zorganizowaliśmy turniej, podczas którego zachowaliśmy się z gospodarską uprzejmością (*śmiech*) i przegrywaliśmy spotkania dużą różnicą bramek. Było to w kalkulowane w przedsięwzięcie. Chodziło o to, by chłopcy się przetarli i nabrali doświadczenia.

Wszystko to zaprocentowało, bo drużyny, które ogrywały nas w 2017 roku różnicą dziesięciu bramek, w ubiegłym musiały nam gratulować zwycięstwa. I nie były to drużyny słabe, tylko mistrzowie i wicemistrzowie województw.

Po roku turniej się rozrósł. Udało nam się zorganizować największy turniej w województwie mazowieckim i drugi co do wielkości w Polsce. Turniej otrzymał patronat Związku Piłki Ręcznej w Polsce i Warszawsko-Mazowieckiego Związku Piłki Ręcznej. Prezes ZPR Andrzej Kraśnicki i dyrektor Gminnego Centrum Sportu Rafał Skorek ufundowali puchary.

W 2017 roku zorganizowaliśmy pierwszy turniej i wydawało się, że to było duże przedsięwzięcie, bo wzięło w nim udział dwustu zawodników. Turniej odbywał się w jednej hali Centrum Sportu w Mysiadle. W ubiegłym roku zmagania toczyły się już w czterech halach, bo do



turnieju Piłka Ręczna Uzależnia zgłosiło się prawie ośmiuset zawodników.

Dzięki zaangażowaniu wielu ludzi turniej się udał. Mówię „wielu ludzi”, ale koniecznie muszę wymienić jednego człowieka, ojca chłopca z naszej drużyny, dyrektora logistyki jednej z największych firm produkujących sprzęt AGD, Marcina Szawlińskiego.

To jest człowiek, który dodaje wiary, angażuje się w treningi, pomaga i wspiera. Sam grał w Warszawie, ale kontuzja spowodowała, że nie mógł trenować dalej. Niedawno mi powiedział, że gdy leżał w szpitalu, to złożył obietnicę, że jak kiedyś będzie mógł komuś pomóc, to pomoże. I jego zaangażowanie to jest dotrzymanie tej obietnicy i przy okazji spełnienie marzenia.

Marcin mówi, że marzył, aby jego syn Stach grał w piłkę ręczną, ale syn nie chciał. Wreszcie namówili go koledzy. Któregoś dnia zrobił ojcu niespodziankę i powiedział: „Tato, będę grał w piłkę ręczną”. I gra.

Drużyny przyjeżdżają do nas na dwa dni. Wszyscy mieszkają w hotelach. Pozyskujemy sponsorów, mamy wsparcie z różnych firm, czasami osób prywatnych, rodziców, lokalnych i ogólnopolskich firm. Drużyny wpłacają wpisowe, ale to by nie pokryło kosztów wyżywienia, noclegów, nagród.

Dzięki sponsorom były dobre nagrody, przynajmniej tak mówili trenerzy i zawodnicy. To był sprzęt sportowy dokładnie przygotowany pod kątem rozmiarów zawodników i przydatności do trenowania.



...piłka ręczna jest dla ludzi z charakterem



Mamy ładne puchary i oryginalne medale. Na turniejach piłki ręcznej wszędzie jest cudowna, rodzinna atmosfera. Gdy przyjechali trenerzy z Wisły Płock (zresztą wygrali wszystko, co się dało wygrać), to właśnie o tym mówili. Dziwili się, że nasi kibice tak emocjonalnie podchodzili do turnieju, że były i łzy szczęścia, i łzy wzruszenia.

Podczas pierwszego turnieju, już po kilku godzinach trenerzy mówili, że za rok znowu przyjadą, mimo że jeszcze nawet nie wiedzieli, w którym śpią hotelu. Staramy się też o to, żeby było bezpieczne. Jest i opieka medyczna, i zawsze dwóch

sędziów na meczu, a nie po jednym, jak się czasami zdarza. Staramy się, żeby wszystko było jak najlepiej zorganizowane.

Kiedy Karol Bielecki był u nas, to rozdał ponad tysiąc autografów. Miał być dwie godziny, a został prawie pięć i nie okazywał zniecierpliwienia. Ładnie też nasz turniej podsumował: „Dobra robota”. A potem złożył zaproszenie do współpracy.

Marzyłem o różnych rzeczach, ale nie o tym, żeby współpracować z wielkimi piłkami ręcznej.

Myślę, że jak przyjadą takie osoby jak Bielecki czy Szmal, to będzie łatwiej. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby nie nasze problemy z dostępem do hali. Ale chcę być optymistą, bo chociaż podczas rozmowy w gminie nie padły słowa, że piłka ręczna będzie naszym okrętem flagowym, to pani wójt powiedziała, że po raz pierwszy byłaby w sporcie współpraca na takim poziomie.

Co jest potrzebne, żeby ten cel zrealizować? Dostęp do hal w takich godzinach, żeby rodzice najmłodszych dzieci nie mieli oporów, że treningi są za późno. Bo jeśli zimą są

po godzinie 20, a dzieci idą rano do szkoły, to rodzice rezygnują z przywożenia dzieci.

Dotychczas trenowaliśmy w Mrokowie, w Łazach i w Mysiadle. Od listopada niestety nie trenujemy w naszej gminie. Zimą przegrywamy w grafiku z piłką nożną w dostępie do hal. Wynajmujemy halę po sąsiedzku, ale będziemy musieli z niej zrezygnować z uwagi na znaczną podwyżkę opłat.

Pamiętam, jak przez dwa lata w podstawówce grałem w Radomiańku w piłkę nożną. Było to w latach dziewięćdziesiątych. Któregoś dnia na zajęcia WF-u w ósmej klasie przyszedł trener piłki ręcznej. Zaczął namawiać dzieciaki, żeby przyszły na trening, bo będzie w liceum robił klasę sportową. Mnie zmotywował, gdy powiedział: „Piłka ręczna jest dla ludzi z charakterem. To jest prawdziwy męski sport”. W piłkę ręczną nigdy jednak na WF-ie nie graliśmy. Nie mieliśmy miejsca, bo hala była niewiele większa, niż boisko do piłki siatkowej.

W naszej gminie hal mamy wiele, ale z granicami na nich, jak pokazuje praktyka, łatwo nie jest. ■

Ser w roli głównej

Cheddar, radamer, gouda, roquefort, camembert... to zaledwie kilka gatunków jednego z najczęściej spożywanych produktów na świecie. Ser – za tą nazwą kryje się tradycja, tysiące odmian i często ogromne pieniądze. Jest półtwardy cypryjski ser solankowy halloumi, jest kremowa gorgonzola z włoskiej Lombardii, szwajcarski gruyère o lekkim orzechowym posmaku, roquefort dojrzewający w wapiennych francuskich jaskiniach i kremowy camembert prosto z Normandii. Są sery o pikantnym aromacie lub słodkim smaku, przerośnięte pleśnią, kremowe, twarde, maślane, z nutą grzybową lub owocową. Te białe jak mleko i te w tysiącach odcieni żółci i pomarańcza. Ponad cztery tysiące odmian i tysiące wielbicieli każdej z nich.

FETA W OLIWIE Z ZIOŁAMI

Niektórzy twierdzą, że do sera najlepiej pasują dobre wino i dojrzałe winogrona.

To przepis na idealną przystawkę lub wykwintną kolację.

Ale sery stanowią też doskonały dodatek do zup, sałatek, placków, ciast, deserów i zapiekanek. Warto po nie sięgać, poznawać smaki i nauczyć się łączyć je z innymi dodatkami.

SKŁADNIKI

opakowanie serka feta, chili, kilka listków bazylii, kilka gałązek tymianku, dwa ząbki czosnku, kolorowy pieprz, dwa listki laurowe, oliwa z oliwek, biały ocet winny

Ser pokrój w kostkę, chili w paseczki, a czosnek w małe kawałki. Teraz układaj w słoiku, mieszając ze sobą wszystkie składniki. Kiedy zapełnisz cały słoik, zalej ser z dodatkami oliwą, a na wierzch dodaj jeszcze 3 łyżki octu i delikatnie potrząśnij słoikiem, aby przemieszać składniki. Włóż do lodówki i odczekaj trzy dni. Podawaj do ciepłych grzanek z bazyliowym pesto.



SMAŻONE ZIEMNIAKI ZE SZPINAKIEM I FETA

SKŁADNIKI

paczka świeżego szpinaku, 1 kg małych ziemniaków, 100 g dobrego sera feta, 1 cebula, 2 ząbki czosnku, garść zielonych oliwek nadziewanych suszonymi pomidorami, suszone pomidory w oliwie, sól, pieprz

Cebulę pokrój w piórka, czosnek w drobną kostkę i wszystko przesmaż na patelni. Dodaj liście szpinaku i smaź, aż staną się miękkie. Zdejmij z ognia. Ugotowane ziemniaki pokrój w grubsze plasterki i smaź na patelni skropionej oliwą z suszonych pomidorów. Dopraw solą i pieprzem. Kiedy ziemniaki się przyrumienią, dodaj do nich szpinak z cebulką i jeszcze przez chwilę smaź. Przełóż na talerz. Na wierzch rozłóż pokrojone w plastry suszone pomidory i oliwki pokrojone w krążki. Całość posyp pokruszonym serem feta.



ZUPA Z CHEDDAREM

SKŁADNIKI

mix świeżych drobnych liści sałat, 25 g winogron, garść orzechów włoskich, 15 dag sera pleśniowego (np. brie, roquefort, gorgonzola) owoc granatu, łyżka miodu, 2 łyżki octu balsamicznego, 3 łyżki oliwy z oliwek, sól, pieprz

Sałatę umyj, osusz i ułóż na półmisku. Winogrona podziel na połówki i rozłóż na sałacie. Orzechy upraż na patelni i obsyp nimi sałatkę. Ser pleśniowy podziel na cząstki i ułóż na wierzchu. Granat przekrój na pół i uderzając w niego, oblej całość pestkami. W słoiku wymieszaj ocet, miód, oliwę, sól i pieprzu do smaku. Przygotowanym sosem polej sałatkę. Odstaw na kwadrans i smacznego.

SALAATKA Z SEREM PLEŚNIOWYM, WINOGRONAMI I GRANATEM

SKŁADNIKI

litr drobiowego bulionu, 200 ml śmietany do zup, jedna marchewka, 150 g sera żółtego cheddar, dwie cebule dymki ze szczypiorem, dwa ząbki czosnku, świeże brokuły, sól i pieprz

Marchewkę pokrój w paseczki, cebulę i czosnek w kostkę, a szczypiorek drobno posiekaj. Na patelni rozgrzej oliwę i podsmaż cebulę ze szczypiorkiem i marchewką. Na koniec dodaj czosnek i lekko przesmaż. Wszystko przełóż do gotującego się bulionu. Dodaj podzielone w małe różyczki brokuły i gotuj na małym ogniu, aż warzywa będą miękkie. Dodaj starty na grubych oczkach ser. Lekko mieszając, poczekaj, aż się rozpuści. Dodaj śmietanę. Zagotuj. Dopraw solą i pieprzem.



ROGALIKI FRANCUSKIE Z SEREM O MANDARYNKOWEJ NUCIE

SKŁADNIKI

opakowanie ciasta francuskiego, 25 dkg twarożku półtłustego, garść rodzynek, ekstrakt waniliowy, 2 łyżki cukru pudru, 2 mandarynki, 2 jajka

Do miski przełóż ser, dolej kilka kropel ekstraktu waniliowego, dodaj dwie łyżki cukru pudru i jedno żółtko. Obierz mandarynki, podziel na cząstki i jeśli ci się uda, zdejmij z nich błonkę. Miąższ dorzuć do sera. Wszystko dokładnie wymieszaj. Teraz dodaj wcześniej lekko namoczone rodzyнки i jeszcze raz zamieszaj. Rozwiń ciasto francuskie i podziel na prostokąty o krótszym boku ok. 15 cm. Każdy z prostokątów przetnij po przekątnej, aby otrzymać dwa trójkąty. Podobnie postępuj z kolejnymi kawałkami. Na każdy trójkąt w najszerszej jego części (u podstawy) połóż łyżkę masy serowej. Zaczynj związać aż do wierzchołka, zaczynając od boku, na który położyłeś ser. Kiedy powstaną rogaliki, ponakłuwaj je delikatnie nożem i posmaruj rozmaconym drugim żółtkiem. Wstaw do piekarnika nagrzanego do 200 stopni na 20 minut. Podawaj z pyszną kawą.



Huragan

*„Niebo się gniewa,
Obłoki nadbiegają w tłumie!
Szczęśliwe drzewa!
Będą się mogły wyszumieć!”*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska